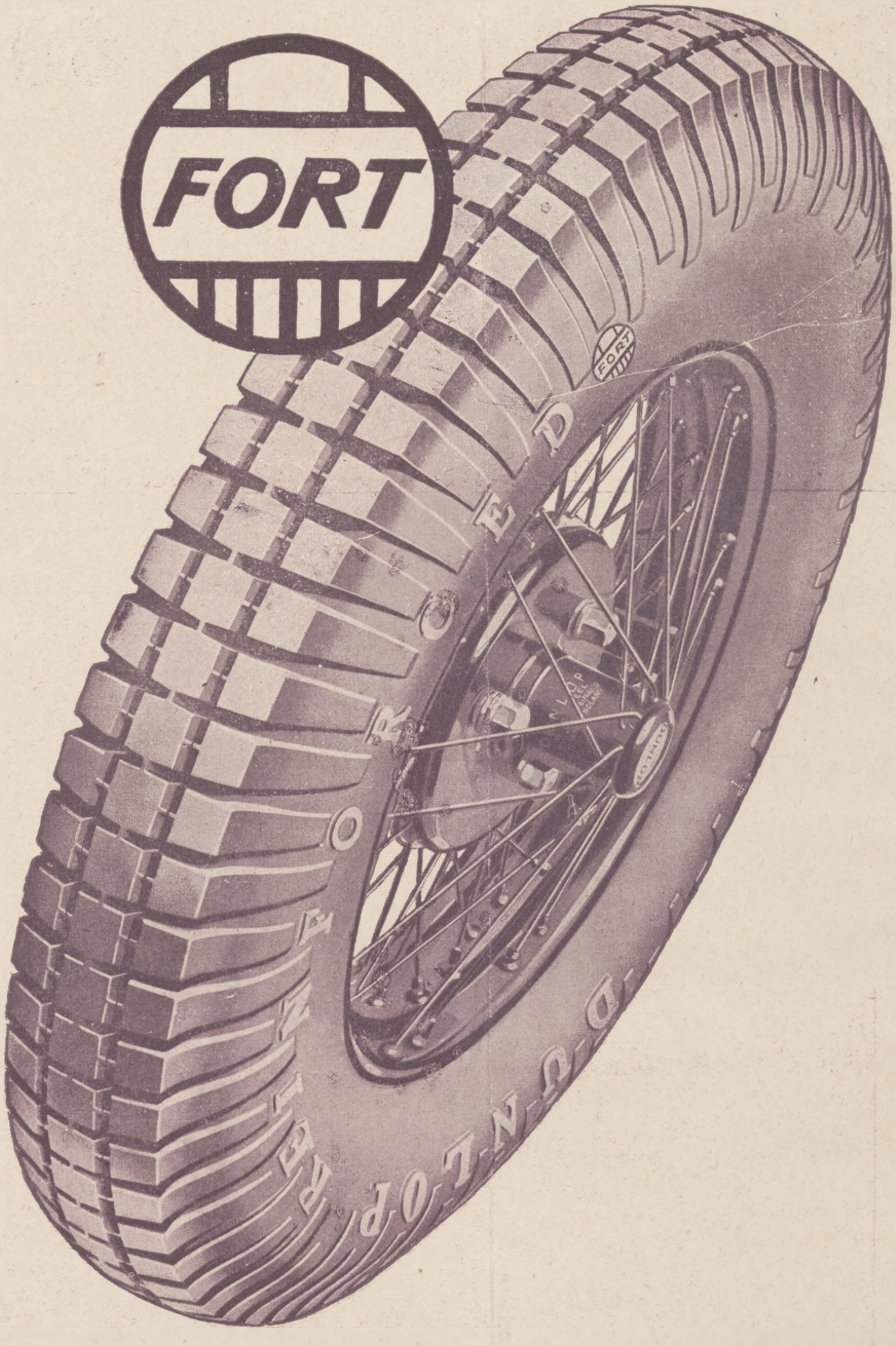
cena
60 gr.

TURYSTA i AUTO

Rok I. Nr. 1. Dnia 15 września 1933 r.



ZACHÓD
SŁOŃCA
NAD
BAŁTYKIEM



DUNLOP

TURYSTA i AUTO

OFICJALNY ORGAN POLSKIEGO TOURING KLUBU

PISMO MIESIĘCZNE ILUSTROWANE

Pod redakcją **K. M. Kałczyńskiego.** Kier. Administr. **Stefan Kulesza**

Redakcja i Administracja: **Warszawa, Kredytowa 5. Telefon 203-45.**

Warunki prenum.: rocznie Zł. 6.50, półroczn. 3.50, kwart. 1.80

NR. 1. WARSZAWA, DNIA 15 WRZEŚNIA 1933 R. ROK I.

OD REDAKCJI

Jedno słowo, w którem mieści się charakterystyka życia współczesnego: **„Tempo"**.

Na usługach jego coraz doskonalsza **Maszyna**. Maszyna, która pokonuje czas i drwi sobie z przestrzeni. Między innemi wspaniały rozwój środków komunikacyjnych. Koleje zwiększają swą szybkość, nie mogąc nadążyć za coraz szybszymi samochodami, które znów prześciga lekki ptak-samolot.

Olśniewający rozwój środków komunikacji nie pozostał bez decydującego wpływu na turystykę, która w latach ostatnich, przywdziawszy siedmiomilowe buty, wybiegła naprzeciw tęsknotom powojennego człowieka, wyzwalając i zaspokajając drzemiącą w nim **ciekawość** i jeszcze z epok pasterskich przetrwały **instynkt koczowniczy.** Skierowanie tego instynktu w odpowiednie łożyska, otoczenie go rozumną opieką, jest bardzo ważne nie tylko z punktu widzenia społecznego i kulturalnego, lecz również narodowego, a nawet państwowego.

Celom tym służy oddawna „Polski Touring Klub". „Turysta i Auto" jest oficjalnym organem „P. T. K." Jako taki przejmuje na siebie wszystkie zadania tego klubu, którego działalność, zwłaszcza w latach ostatnich, szła wytrwale po linji celowego rozwoju turystyki, zwłaszcza krajowej, tak ważnej dla młodego organizmu państwowego, jakim jest Polska — że wymienimy tylko konieczność dalszego większego scementowania ideowego poszczególnych ośrodków regionalnych. A nastąpić to może najłatwiej właśnie na tle celowo zorganizowanego **ruchu turystycznego.**

„Turysta i Auto" przynosić będzie w każdym numerze zgodnie z życzeniami członków „P. T. K.":

Artykuły i feljetony najlepszych polskich piór, omawiające aktualne zagadnienia turystyczne, oraz sprawy krajoznawcze, ruch samochodowy i t. d.

Nowele najświetniejszych pisarzy.

Informacje o ruchu turystycznym w kraju i zagranicą.

Korespondencję członków P. T. K.

„Dobre wychowanie".

Humor.

Wiadomości radjowe.

Skrzynka fotografa amatora.

Kącik bridge'owy.

Rozrywki umysłowe.

Wiadomości klubowe.

Repertuar teatralny.

„Turysta i Auto" dążyć będzie stale do ulepszania szaty zewnętrznej wydawnictwa, która już dziś stoi na wysokim poziomie. Specjalny nacisk położony zostanie na **dobór ciekawych i pięknych fotografji.** W tym celu, pragnąc obok najlepszych zawodowców, z którymi „Turysta i Auto" zawarł umowy, zapewnić sobie współpracownictwo amatorów z pośród P. T. Czytelniczek i Czytelników, już w pierwszym numerze ogłaszamy **Konkurs fotograficzny z licznemi nagrodami.** Inne urozmaicone konkursy ogłosimy niebawem.

Każdy, komu leży na sercu rozwój turystyki, powinien czytać, kupować, prenumerować i popierać „TURYSTĘ i AUTO".

WYCIECZKA DO CZECHOSŁOWACJI

Wywiad z p. Dr. Inż. Waldmüllerem

Polski Tour. Klub organizuje we wrześniu wycieczkę do Czechosłowacji, dokładając wszelkich starań, by jak najlepiej i ku zadowoleniu uczestników wypadła. Przedewszystkiem zwróciliśmy się do Dyrektora Czechosłowackiego Biura Informacyjnego w Warszawie, Dr. Inż. J. Waldemüllera, delegata Czechosłowackiego Ministerstwa Przemysłu i Handlu aby łaskawie się wypowiedział w sprawie turystyki w Czechosłowacji wogóle, jak również by udzielić chciał nieco cennych wskazówek, dotyczących trasy wyżej wspomnianej wycieczki.

Pan Dyrektor Waldemüller przyjął mnie bardzo mile i zakomunikował że zna „par excellence" jako zamiłowany turysta prawie całą Europę, a jednak jest zdania, że Czechosłowacja słusznie otrzymała powszechnie miano „Parku Europy", a z punktu widzenia turystycznego przyznać trzeba, że do rozgłosu przyczyniły się wspaniałe miejscowości górskie, klimatycne, oraz kuracyjne, ze słynnemi źródłami, znanemi już od kilkuset lat i tak licznie przez kosmopolityczną publiczność uczęszczanemi.



Pan Inż. Dr. Waldmüller na tle Zamku „Krzyvoklad"

Sądzę, mówi dalej P. Dyr. Waldemüller, iż się nie mylę, gdy powiem, że Czechosłowacja należy do tych państw, które posiadają największe ilości różnorodnych wód mineralnych, zapewniających wszelką możliwość kuracyjną według potrzeb i wskazówek lekarskich.

Wycieczka Polskiego Touring Klubu, tak zaszczytnie znanego w Czechosłowacji, będzie mieć charakter rewizyty wycieczki Ligi Czechosłowackiej Motorystów, tak gościnnie przyjmowanej przez Panów w Warszawie i ich oddział w Polsce. Nie zapomina się wspaniałego przywitania przez Panów już na granicy Polskiej i muszę z radością skonstatować, że wycieczki te są najlepszą rękojmią przyjaźni narodów.

Co do trasy jaką Polski Touring Klub wybrał dla swej wycieczki, to przyznać muszę, ciągnął dalej P. Dyr. Waldmüller czystą polszczyzną, bez cienia akcentu, że jest ona doskonale ułożoną, gdyż jest od Berna (Czeskiego Menczesteru) począwszy, który w pobliżu kilku zaledwie kilometrów posiada wspaniałe groty i oryginalne labirynty, wśród których wije się rzeka Punkva, snuje się dalej droga wśród malowniczych okolic do Podibradu.

Uzdrowisko to cieszy się ogólną sympatją i jest chętnie odwiedzane tak przez swoich jak i cudzoziemców. Podobno jednak przeważa ilość pań kuracjuszek, bo specjalnością Podibradu jest „leczenie słabych serc".

Dalszą do Pragi mile urozmaicają widoki pięknej natury, malowniczo położone wioski, barwne stroje ludowe...

Nad pięknem Pragi nie będę się rozwodził, bo jest ono ogólnie znanem, zaś droga z Pragi do Karlowych Var jest specjalnie zajmująca, gdyż przypomina nieco okolice położone nad Loirą, gdyż mija się tutaj szereg pięknych zamków starożytnych, że wspomnę tylko o zamku „Krzyvoklad", Karlstejn, etc., które rzeczywiście czarują turystę tak położeniem jak i jakimś specyficznym urokiem.

Na dalszej trasie znajduje się uzdrowisko „Jachymowo" posiadające wspaniałe źródła radowe, ongiś bogate w kopalnie srebra.

W powrotnej drodze z Pragi uwagi godnem jest piękne miasto „Hradec Králove" szczególnie pod względem architektonicznym. Następnie trasa prowadzi już przez górskie okolice „Orlické Hory", gdzie droga ciągle i niezmiernie dobra prowadzi wspaniałemi serpentynami przez Czerweną Vodę z powrotem do Morawskiej Ostrawy i Cieszyna.

Jestem pewny, dodaje P. Inż. Waldmüller, iż turyści polscy przekonają się iż Czechosłowacja jest naprawdę krajem pięknym, kulturalnym, gdzie sztuka, przemysł i żywy ruch ludności tworzą harmonijną całość.

M. L.

D O Ż Y N K I   W   S P A L E


1.


2.


3.


4.


5.


6.

Ubłagany gorąco przez Naczelnego i skuszony obietnicą bajońskiego honorarjum, zdecydowałem się pojechać z wycieczką klubową na dożynki do Spały, mimo mego głębokiego przeświadczenia, że w myśl odwiecznej tradycji będzie lało.

Na dożynki zjechało w tym roku przeszło 25.000 osób, podczas gdy komitet obchodu liczył podobno najwyżej na 12.000, to też kołpot był niemały z rozkwaterowaniem licznych a niespodziewanych gości.

Dokoła stadjonu ustawiono dwanaście symbolicznych bram, krytych strzechą dla delegacyj dwunastu ziem Rzeczypospolitej. Około godziny czwartej przy dźwiękach orkiestry zjawia się Dostojny Gospodarz i zajmuje miejsce w fotelu pośrodku loży. Na dany znak wszystkie delegacje ruszają z pod swych bram i zmierzają ku środkowi stadjonu śpiewając „Plon niesiemy plon, w gospodarza dom". Pierwsza podchodzi delegacja Kaszubów ze wspaniale przybranym starostą na czele, który w pięknem przemówieniu, wygłoszonem charakterystyczną gwarą wyraził Pierwszemu Gospodarzowi w imieniu całej ludności kaszubskiej gotowość bronienia Pomorza i dostępu do Morza do ostatniej kropli krwi. Z kolei podchodziły delegacje Rybaków kaszubskich, Górnoślązacy, Poznaniacy dalej Wilnianie, Kielczanie, Podhalanie, Huculi, a wreszcie delegacje Podola, Lubelskiego, Polesia, Krakowa i Mazowsza.

Powszechną wesołość zarówno Pana Prezydenta jak i całej Jego Świty wywołało życzenie przodownicy wileńskiej: „Abyś nam drogi Panie Prezydencie jeszcze sto lat hulał i pił!" Na szczególną wzmiankę zasługują oczywiście składane przez poszczególne delegacje wieńce żniwne, zadziwiające niekiedy zarówno pomysłowością wykonania jak i prawdziwym artyzmem kompozycji. Na samym końcu niesiono na barkach 12 przedstawicieli wszystkich ziem olbrzymi wieniec ogólno polski. Po złożeniu go, Starosta dożynkowy podał Panu Prezydentowi chleb wypieczony z tegorocznych zbiorów, poczem nastąpiła wzruszająca ceremonja łamania się chlebem zarówno z poszczególnemi przodownicami jak i otoczeniem Pana Prezydenta. Na zakończenie podano Panu Prezydentowi kubek staropolskiego miodu, po wypiciu którego, częstował miodem wszystkich starostów, przewodnice i gospodynie.

Dożynki spalskie są wyjątkowo podniosłą uroczystością, zostawiającą w duszy każdego widza niezatarte wrażenie i poczucie ogromnej solidarności narodowej.

Pigwin.

1. *Wyjazd z lokalu Touring Klubu.*
2. *Ogólny widok stadjonu w Spale.*
3. *Delegacja Pomorzan.*
4. *Przodownica z Górnego Śląska składa życzenia Panu Prezydentowi R. P.*
5. *Delegacja z Kieleckiego.*
6. *Delegacja Ślązaczek z Śląska Cieszyńskiego.*
7. *Wieniec z Wileńszczyzny.*
8. *Dar delegacji z Krosna.*
9. *Orkiestra góralska.*
10. *Wieniec z ziemi Podolskiej.*
11. *Powszechną wesołość zarówno Pana Prezydenta jak i całej Jego świty wywołało życzenie przodownicy Wileńskiej „Abyś nam Panie Prezydencie jeszcze sto lat hulał i pił!"*
12. *Przy Tatrze kicha nawaliła.*

Zdjęcia własne „Turysty i Auta" wykonane na błonach Kodak „Panatomic"




8.


9.


10.


11.



JAN PIOTROWSKI.

PODRÓŻE „NA GAPĘ"

Najsilniejszym ze wszystkich narkotyków jest przestrzeń. A namiętnoście potężniejsze od hazardu — podróże...

W portach dymią transoceaniczne parowce i kołyszą się na falach białe jachty. W czeluściach hangarów srebrzyste płatowce gotują się do lotu. Z Dworca Głównego odchodzą wspaniłe expressy Warszawa — Paryż, Warszawa — Bukareszt, Warszawa — Rzym...

Tęsknota nasza mknie wraz z pociągami poprzez równiny i góry, towarzyszy statkom na oceanie, wzbija się ku niebu na skrzydłach samolotu...

Powietrza! Słońca! Przestrzeni! Innych krajów, innych obyczajów! Nowych ludzi! I przygód, przygód, przygód!...

Znużone szarzyzną piasków mazowieckich źrenice olśnić gorącemi barwami Południa... Płucom, więdnącym w dymie biurowym, fabrycznym i kawiarnianym, dać szeroki oddech morza i gór... Zobaczyć kopułę św. Piotra i Giocondę, Westminster i St. Chapelle... Przepłynąć oceany i powitać amerykański Posąg Wolności... Zadzierając głowę, podziwiać drapacze chmur... Ogłuchnąć od łoskotu Niagary... „Canadian Pacific" lotem strzały przeniesie nas na drugi koniec kontynentu, gdzie luksusowy parowiec japoński powiezie ans dalej, dalej i dalej... Wpatrzyć się w biały, hieratyczny szczyt wulkanu Fudżijama... Zwiedzić dziwaczne, obwieszczone dzwoneczkami pagody Kantonu i herbaciarni Jokohamy... Dotrzeć do Jawy i Cejlonu... Wpijać zęby w nieznane, złociste i krwawe owoce... Smakować najdziwniejsze trunki, nieznane w Warszawie... I gnać, gnać, gnać przed siebie... Jak Farys...

Pędź, latawcze białonogi:
Wiatr z drogi — chmury z drogi!

Tak — ale jak to uczynić, gdy się nie posiada „tego co najważniejsze", a więc... gotówki? Próbuje się wtedy różnych sposobów, odbywając podróż... „na gapę".

Dnia 15 lipca 1927 roku mały pięcioletni Franciszek, który w tym wieku był już członkiem kilku klubów kolarskich, wyruszył na rowerze z Dieppe do Saint-Denis, dokąd dotarł po 16-tu godzinach. Pięć lat temu, w stuletnią rocznicę Jules Verne'a, piętnastoletni Duńczyk Palle Huld odbył na koszt dziennika „Politiken" podróż naokoło świata w 44-ch dniach, budząc m. in. sensację w Warszawie, przez którą przejeżdżał. Również kilka lat temu niemały podziw — tym razem na ulicach Paryża — wzbudził dorożkarz berliński, który podróż ze stolicy nad Sprewą do stolicy nad Sekwaną odbył na koźle swej dryndy. W tym samym mniejwięcej czasie jakiś krawiec wiedeński wybrał się do Paryża w sposób jeszcze oryginalniejszy — kazał się mianowicie wyekspedjować w pace drewnianej, nie uprzedzając, naturalnie, władz kolejowych o jej żywej zawartości...

Inny amator oryginalnych podróży, zamożny kupiec amerykański, założył się ze swymi przyjaciółmi, że odbędzie podróż naokoło świata bez grosza w kieszeni, nie przyjmując w drodze niezarobionych własną pracą pieniędzy i że rozpocznie ją nietylko „bez krawata", ale wogóle tak, jak go Pan Bóg stworzył... „Goły, ale wesoły" podróżnik ten ogłosił o swoim zakładzie w prasie miejscowej, poczem o umówionej godzinie zamknął się w budce drewnianej, której małe okienko wychodziło na ruchliwą ulicę. Rzecz prosta, że wiadomość o tak dziwacznym zakładzie ściągnęła tłumy gapiów pod okienko. Każdy nagwałt chciał być świadkiem tego startu w adamowym stroju. Gdy po kilku godzinach oczekiwania zawiedziony tłum rozszedł się, kupiec opuścił swoją kryjókwę, pozbierał kilkadziesiąt gazet, porzuconych amerykańskim zwyczajem na trotuarze, poszczepiał je szpilkami i przykrył swe grzeszne ciało tym kostjumem, rozpoczynając w ten sposób swą podróż bez złamania pierwszego warunku zakładu...

Kilka lat temu ukończyli szczęśliwie swoją podróż naokoło świata dwaj sprytni Francuzi, Papillaud i Leroy, odbywając ją na rowerach i utrzymując się przez cały czas wyłącznie z odczytów i ze sprzedaży pisemka pod nazwą: „En Route", które redagowali i drukowali na każdym postoju.

Trzydzieści trzy lata temu, pragnąc w oryginalny sposób uczcić pierwszy dzień XX stulecia, znany malarz amerykański, Verno Churchill, wyruszył w podróż naokoło świata, obowiązując się ukończyć ją w przeciągu dwudziestu miesięcy i rozpoczynając ją z pięcioma centami w kieszeni, podarowanemi mu przez admirała Jerzego Dewey'a, bohatera wojny hiszpańsko-amerykańskiej. Mało tego! Jak brzmiały dalsze warunki zakładu, artysta miał powrócić z podróży z sumą nie niższą od trzech tysięcy dolarów, zarobioną i zaoszczędzoną w drodze. Dobrze przed terminem wrócił Churchill do Nowego Yorku, pokonywując szczęśliwie wszystkie trudności i zgłaszając się po wygraną.

Na jeszcze dziwniejszy pomysł wpadł utalentowany skrzypek hiszpański Haro, który wybrał się w podróż naokoło świata... na szczudłach, przygrywając po drodze na ulicach i na placach publicznych i zarabiając w ten sposób na życie. Dokuśtykał tak do Wiednia, gdzie podczas takiego koncertu został przejechany przez samochód.

Kilka lat temu para amerykańskich „indywidualistów" rozpoczęła podróż naokoło świata krokiem tanecznym — on we fraku, ona w kostjumie kąpielowym... Prasa jednak nie podaje, czy daleko dotańczyli...

Zgórą dwadzieścia lat temu małżonka pewnego lorda angielskiego kazała sobie sporządzić wygodny wóz, zaprzężony w parę koni, którym dotarał już do Rosji, gdy nagle straszliwa burza zniszczyła jej wehikuł i tak ją nastraszyła, że amatorka oryginalności czemprędzej wróciła w domowe pielesze — ale tym razem już w wygodnym przedziale pierwszej klasy...

O wiele trudniejszego zadania podjął się kilkanaście lat temu Wiedeńczyk, Rudolf Hansbal. Przebył on 22.540 kilometrów, idąc pieszo i pchając przed sobą mały wózek. Dodać należy, że w wózku tym zasiadała przez cały czas jasnowłosa małżonka Hansbala z małym synkiem na kolanach.

Pewien feljetonista monachijski, wychodząc z założenia, że podróżujemy dla wrażeń i przygód, radzi swoim czytelnikom przechodzić od czasu do czasu wolnym krokiem i z zamkniętemi oczyma przez jezdnię podczas największego ruchu kołowego. Nie mam jednak sumienia polecać naszym czytelnikom tego sposobu podróży...

Na dowcipniejszy pomysł wpadł pewien dziennikarz francuski. Radzi on amatorom podróży morskich odbywać je, stając pośrodku wielkiego mostu, opierając się o balustradę i nie odrywając oczu od wody, płynącej tuż pod naszemi stopami. Po kilku chwilach mamy wrażenie, że to nie woda, lecz my sami płyniemy. Przy odrobinie wyobraźni most stać się może dla nas pokładem „Polonji", albo „Pułaskiego", a rzeka — oceanem...

Jak widzimy, nawet w tych kryzysowych czasach przy odrobinie wyobraźni można zaspokoić swą żądzę podróży...

E. M. SCHUMMER

SKOK PODNIEBNY NAD ADRJATYK



„To nie starozakonni! To muzułmańscy Bośniacy targują się o cenę partji fig".

Nie lubię tłuc się pociągami. To trudno.

Nie lubię także tłoku, sąsiedztwa gadatliwych lub znudnych pasażerów i kłótni o miejsce przy oknie. Nie lubię sprytnego oszustwa wystawania w drzwiach wagonu na stacjach, aby innym zdawało się, że wszystkie miejsca zajęte.

I nie lubię wyciągania z koszyczka prowiantów i nie lubię patrzeć, jak mój współtowarzysz podróży już w Skierniewicach je jajko na twardo, w Koluszkach zabiera się do kurczęcia na zimno, a w Częstochowie sięga po drugie jajko na twardo.

Taki już jestem. To trudno.

Zapragnąłem ciepłej kąpieli. Bałtyk jest taki kapryśny!

— Jeżeli wyleci pan z Warszawy zrana — powiedziano mi w „Locie" — może pan trafić na drugie śniadanie do Wiednia, obiad zje pan w Budapeszcie, a kolację w Belgradzie.

Nie trzeba dodawać, że to wszystko tego samego dnia. To przecież jasne jak żarówka Tungsrama (nie chodzi mi o reklamę, tylko szukam nowej metafory; to także powinno być jasne!).

W Pradze na lotnisku można kupić czeskich papierosów. W Wiedniu, jeśli się ma dość pieniędzy, dobrze jest na Kärntnerring zaopatrzyć się w kilka wytwornych krawatów. Dobrą kuchnię znaleźć można w podziemiach Ratusza. Uwaga: t. zw. kotlet po wiedeńsku okazuje się w Wiedniu mitem. To wynalazek restauratorów warszawskich! I nie zapomnieć wypić kufel Pschorra! Koniecznie.

O dwunastej minut 25 (w południe) startuje z Aspern aeroplan do Budapesztu. Trzymotorowy olbrzym na ośmnaście osób! Nie licząc pilota i obserwatora. Pan radca Haerdl z wiedeńskiego ministerstwa spraw zagranicznych jest tyle łaskaw, że telefonicznie rezerwuje mi miejsce. Sehr liebenswürdig, Herr Staatsrat!

Okazuje się, że kłótni nawet w samolocie nie uniknę. Dwuch czarnych i chudych jak latarnie karawaniarskie Węgrów aż do samego Budapesztu będą się targować zajadle o cenę kupna partji winogron. Tylko trzyosobowa rodzina Anglików (papa, mama i córka), każde w okularach rogowych, każde ze szkockim pledem na kolanach, każde z Baedekerem w dłoniach — dokońca zachowają brytyjską flegmę.

W Belgradzie lądujemy o trzeciej minut 35. Punktualnie, jak w zegarku.

— Czy król przyjmie mnie dzisiaj? — telefonuję do znajomego urzędnika naszego poselstwa na Krunska ulica.

— Niemożliwe! — pada odpowiedź. — Jego Królewska Mość, Aleksandar, wczoraj jeszcze wyjechał do swej rezydencji w Skoplje. A zresztą — ubiegł pana Pertinax, który przed kilku dniami odbył wywiad z królem!

To smutne. Skoro dałem się ubiec panu Pertinaux, dłuższy pobyt w tem mieście nie przedstawia już dla mnie uroku. Szkoda, że do Splitu niema narazie komunikacji lotniczej! Przenocujemy zatem w Hotelu „Moskwa" tuż przy dworcu i w dalszą drogę pojedziemy koleją. Trudno i darmo!

To nie zwrot retoryczny „trudno i darmo"! Dosłownie. W centralnem biurze prasowem przy prezyojum rady ministrów pan Draguticz, skądinąd pyszny dramatysta jugosłowiański, wręcza mi bilet kolejowy pierwszej klasy. Aż do samego Splitu.

W Splicie wsiądzie pan na statek naszej Jadranskiej Plovidby i wysiądzie pan tam, gdzie pan będzie chciał. A tu oto proszę partję fotograf:i. Moż zechce pan coś o nas napisać. Może również lekturę na drogę?



„Na kształt jaskółczych gniazd przylgnęły do antycznych rumowisk kramy i sklepy".

Oto „L'attentat de Sarajevo" pana Mousset; najnowsze materjały do tej żałosnej historji. Proszę. A to książka z innej beczki: dr. Brakus, nasz wybitny statysta, pisze o bezpośrednich podatkach w państwie Jugosłowiańskiem.

Ileż uprzejmości okazuje mi nieoceniony pan Dragutícz! Czy napiszę? Niewdzięcznikiem byłbym i szelmą...!

— Molite hotel z devojkoj? — zapytuje w hotelu usłużny portjer. Wytrzeszczam oczy. Z dziewczynką? Nie, narazie pięknie dziękuję!

* * *

Pierwsza kąpiel w Splicie.

Split jest czołowym portem Jugosławji odkąd pan Gabrjel D'Annunzio zagarnął jej Fiume.

Antyczne miasto! Sprzedawcy winogron, granatów i fig rozsiedli się tu ze swemi straganami w bliskiem sąsiedztwie patyną okrytych ruin Perystylu Dyoklecjana.

Wspaniałe łuki budowli spinają smukłe koryncki kolumny o kapitelach z liści akantu. Obok wznosi się majestatyczna dzwonica, pełna rzeźb, stiuków i sztukaterji. Nakształt jaskółczych gniazd przylgnęły do starych murów i rumowisk kramy i sklepy, w których za kilka dinarów można kupić misterne wyroby ze srebra, tkaniny ludowe, muzułmańskie fezy z barwnemi chwastami i nieprzebrane mnóstwo tego rodzaju rupieci i bibelotów.

„Kneżewicz Milan" Jadranskiej Plovidby (Żeglugi Adrjatyckiej) o świcie wyrusza w kierunku licznie rozrzuconych wzdłuż brzegu wysp: Rab, Krk, Hvar...

Wszędzie zabytki antycznej architektury. Na Rabie liczne patrycjuszowskie pałace. Kościoły i kaplice — od XI-go stulecia aż do czasów baroka. Katedra, czarująca renesansowym frontonem, krytym białym i czerwonym marmurem. A wszystko to otoczone girlandami pnączy i krzewów, barwną i woniejącą florą krajów południowych.

W malowniczej zatoce leży amfiteatralnie miasto Hvar, tej samej nazwy co wyspa. Zwą je „jugosłowiańską Maderą". Z pośród gęstych liści platanów, kaktusów i pinij sterczą białe domy rybaków, strzelista wieża klasztoru i dachy hoteli. Piękną dekorację ma to miasto! Tworzą je dwie wyniosłe góry, na których pozostały ślady dawnych fortów: „francuskiego" i „Napoleona".

Z głębi lądu wiatr niesie upojną woń rozmarynu i licznych tutaj fabryczek perfum i olejków.

Wyspa jakby zaklęta w bajce o czarodziejskiej wróżce i czterdziestu śpiących rycerzach...

* * *

Od wczesnego świtu wszystkich tu budzą przeraźliwe piania kogutów. Nigdzieindziej nie widziałem tyle kogutów, ile spotyka się na Hvarze. Prześcigają się formalnie w tych porannych pieniach, zdolnych nieboszczyka wskrzesić. Gdyby w Rzymie zamiast gęsi były koguty, z pewnością równie skutecznie ocaliłyby swym wrzaskiem Kapitol...

Kuracjusze w pyjamas i w kolorowych kitlach udają się na plażę. Idzie się do tej plaży ścieżyną, wysadzaną niezgrabnemi kaktusami, wyniosłą pinją, pustelniczym „chlebem świętojańskim" i szeregiem palm daktylowych.

— Idema ku moriu! Idema kupatsa! — słychać zewsząd nawoływania Hvarzanek.

Pływają te urocze obywatelki wyspy jak rekiny. Jak rekiny też pożerają serca co czulszych kuracjuszów.

Łazienki nowe, marmurowe — wspaniałe!

Za niemi ciągnie się rząd przepysznych murowanych willi patrycjatu jugosłowiańskiego. Jedną z najpiękniejszych wybudował tu sobie poseł i minister w Polsce, p. Branco Lazarević.

W górze słońce jak czerwona tarcza ciska wdół miotłę promieni, nieskażonych ani jedną chmurą. Adrjatyk lśni w tym blasku kolorami tęczy, jak potłuczone czarodziejskie lusterko. Przeglądają się w niem ogorzałe ciała śmigłych pływaków, wzdęte żagle yachtów, krępe łodzie rybaków.

Kąpiel w tem morzu to jedna symfonja uciechy, zdrowia, tężyzny.

Stąd już niema się ochoty wyruszać dalej. Poco? Czy gdzieindziej może być piękniej? Chyba tylko dla tych nieboraków i śledzienników, dla których pięknie jest tam, gdzie ich niema.

Ale ci musieliby uciec przedewszystkiem od samych siebie...

JADWIGA KIEWNARSKA

ROZKOSZE CAMPINGU

Dawniej, kiedy ludzkość prowadziła tryb życia osiadły, owa osiadłość cechowała nawet... podróże. Tak jest, bowiem wyjeżdżano rzadko i na długo. Wyjeżdżano na lato, lub na zimę; nad morze, w góry, do „wód“, wreszcie za granicę, ale zawsze w zamiarze dłuższego pobytu.

Obecnie się nie *wyjeżdża*, obecnie się *jeździ*. Gdzie się da i czem się da, aby jaknajprędzej i jaknajwięcej.



Piękna pani, co we własnym domu omija kuchnię zdaleka, w czasie weekendu własnoręcznie rozpala maszynkę, obiera ogórki i gotuje zupę

Znam osoby, które podczas miesięcznego urlopu zdążyły przejechać całą Polskę wszerz i wzdłuż. Znam inne, takie co od wczesnej wiosny do późnej jesieni, ani jednego weekendu nie spędziły w mieście. W sobotę, po wczesnym obiedzie ładuje się namiot żywność i rodzinę, składak do samochodu i jazda przed siebie.

Nocleg, gdzie wypadnie. Najchętniej nad brzegiem rzeki lub jeziora, żeby słoneczny, niedzielny ranek upłynął na wodzie. Powrót późnym wieczorem, jaknajpóźniejszym. Miejsce skonsumowanych zapasów zajmują pęki polnych kwiatów albo purpurowe i złote od jesiennego słońca gałęzie. Płuca wypłukane świeżem, czystem powietrzem, oddychają miarowo, powieki skleja zdrowe zmęczenie. Świetnie się śpi po takim weekendzie, łatwiej pracuje się przez cały tydzień z myślą o takim wypoczynku.

— Wypoczynku!... Przecież to musi być szalenie męczące, takie wycieczki. I takie niewygodne. Nocleg w namiocie, wczesne wstawanie, zimna kąpiel w rzece, jedzenie potraw zimnych lub odgrzewanych... A tu jeszcze może być wiatr, deszcz, burza albo zbyt wielki upał... A jak nawali kicha, albo zacznie stukać w motorze... Trzeba zmieniać, pompować, kleić, włazić pod samochód... Bo, czyż to nie przyjemniej przespać się w wygodnem łóżku, zjeść dobre śniadanie i pójść do modnej kawiarni na lody i przegląd nowych kapeluszy. Bo na taki zwarjowany week end to nawet ubrać się przygodnie nie można.

Tak rozumują te i ci co jeszcze nie zakosztowali radości turystyki samochodowej i wodnej, nie wgryźli się w istotny smak życia zdala od wygód cywilizacji lecz i od jej jarzma. Nie wiedzą jaka to rozkosz uciec od dnia powszedniego, niemal od siebie samych, siebie codziennych. Zamienić swe biurowe, finansowe, domowe kłopoty i troski, na kłopoty i troski całkiem odrębnej natury. Przestać się martwić o to czy będą pieniądze na wykupienie wekslu, czy krawcowa zechce nam skopjować ten ostatni paryski model płaszcza na kredyt i na raty, czy te długie, przeciągające się późno w noc konferencje przemysłowe męża, to naprawdę konferencje, czy też... mniejsza o to. Podczas campingów troszczymy się jedynie o to żeby teren pod namiotem nie był zbyt wilgotny i nie leżał na drodze mrówek śpieszących do rodzimego mrowiska, żeby termos się nie stłukł, kompot nie wyciekł ze słoika, maszynka spirytusowa nie zgasła, mleko nie wykipiało.

Piękna i strojna pani, taka co we własnym domu omija kuchnię zdaleka, w obawie żeby swąd zrumienionego masła nie przyczepił się do godetów jej sukni — w czasie week end'u własnoręcznie obiera ogórki, sieka koperek i gotuje zupę. Robi to z tem większem przejęciem i zaciekawieniem, że nie jest to jej zajęcie powszednie, codzienne. Tak samo, jak poważny pan doktór, złotoustny mecenas i cokolwiek przytyły i łysawy pan dyrektor, ubrani w kusiuteńkie porcięta wyczyniają w płytkiej wodzie harce tem ucieszniejsze, im poważniejszą jest ich całotygodniowa praca. Ale radzę pani zapędzić i panów do roboty przy gospodarstwie campingowem. Przedewszystkiem, żeby ich nie demoralizować przeświadczeniem że gotowanie to „babska rzecz“. Kończymy już z podziałem praktycznej natury: — gotowanie zbiorowe w czasie campingu może być wielką uciechą; ktoś jeden rozpala maszynkę, drugi przynosi wodę, inni obierają jarzyny, jeszcze inni otwierają konserwy ect... Natomiast jeżeli wszystkie te czynności przypadną w udziale jednej osobie (ty to tak ślicznie robisz, kochanie), a inni tymczasem biegają po łące, chlapią się w wodzie lub oddają się słodkiemu for niente słonecznej kąpieli — zabawa staje się uciążliwym obowiązkiem, a camping powinien być właśnie ucieczką od wszelkich obowiązkowych zajęć. Urlopem na całej linji.

Przedewszystkiem bierzemy urlop od obowiązku modnej elegancji. Jaknajdalej idąca swoboda ubrania. Równauprawnienie. Dla panów i pań jednakowe combinai-



Estetyczne podanie i nakrycie umila campingowy posiłek

son'y. W upał kąpielowe trykoty... tu niestety kończą się równouprawnienie. Ta nieznośna płeć brzydka, znowu ma nad nami przewagę. Oni mogę nie siejąc zgorszenia opalać się do pasa, my musimy nosić trykoty zapięte na obu ramionach. Co za niesprawiedliwość!

Aby niesprawiedliwość tę i przykre łaty opalenizny wyrównać, należy zawsze upatrywać w lesie taką zaciszną polankę, na której można opalać się godzinkę lub dwie bez świadków i bez kostjumów. W celu uniknięcia niespodzianek i natrętów dobrze jest stawiać nieopodal na straży jakiegoś pewnego, bezinteresownego mężczyznę. Najlepiej syna, lub brata. W ostateczności męża. W tym jednynym wypadku lepiej własnego.

Takie wycieczki - ucieczki pozwalają obcować z przyrodą o wiele swobodniej i poufalej niż to jest możliwe nietylko w pensjonatach modnych uzdrowisk, lecz nawet w wiejskich dworach, gdzie obowiązują względy towarzyskie najrozmaitszej natury. Urlopy i week end'y spędzone w samochodzie i składaku, dają możność odkrywania przepięknych, nieznanych dotąd okolic, zwiedzania malowniczych min i osobliwości bez przymusu nocowania w brudnych, zapluskwionych hotelach małych miasteczek. Zostawiają otwarte pole przygodzie, kapryśnej, uroczej uczestniczce turystycznych eskapad. Jakie miłe znajomości nawiązuje się czaesm na wodzie, lub na szosie! Jakie wesołe wynikają stąd przyjaźnie i flirty koleżeńsko-sportowe.

Stołeczni znajomi mówią o naszej opalonej cerze i cokolwiek może za głośnym śmiechu z zazdrosnym przekąsem. Podobno dziczejemy na łonie przyrody i niezadługo wypadnie nas oswajać i tresować jak schwytane leśne zwierzęta. A starsi członkowie rodziny nie ukrywają zgorszeina przy wysłuchiwaniu podobnych rozmów telefonicznych:

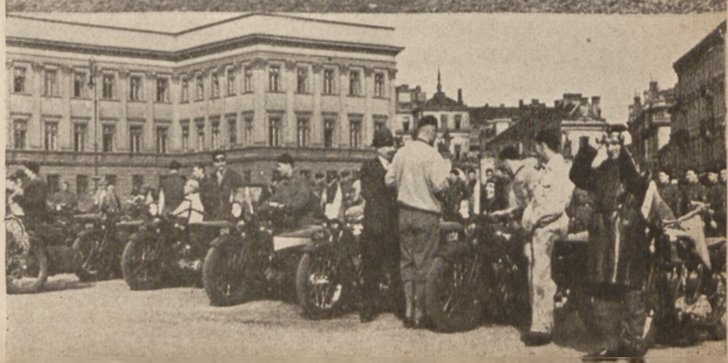
— Hallo! To pan, panie Henryku! To dobrze, że właśnie pan jest przy aparacie, bo nie dosłyszałam wtedy pańskiego nazwiska i nie wiedziałam jak prosić. Jakże to oparzenie na plecach? zagoiło się? Na mojem udzie też już ani śladu tego ugryzienia, co pan wie. No, pamięta pan tę wioskę, gdzie był taki zły pies na długim łańcuchu. A jakże, znalazłam w torbie z jedzeniem pański ręcznik i pańskie granatowe spodnie. Ale moje to są chyba u pana. I to prześcieradło, co nam wtedy służyło za obrus...

Ludzie gorszą się i jakże niesłusznie. Nie wiedzą, że zdrowe zmęczenie pędem, upojenie powietrzem odpędza daleko wszelkie zdrożne myśli, daje mocny, bezgrzeszny sen i najprostszy, najczystszy stosunek do spraw pozarnie zawiłych.

Motocyklowa wycieczka do Wiednia







1. Najmłodsze dziecko Państwowych Zakładów Inżynierji z konstruktorem inż. T. Rudawskim. 2. Start. 3. Motocykle na starcie.

Dnia 7 b. m. z placu Marszałka Piłsudskiego wyruszyła wycieczka do Wiednia, gdzie odwiedzi Austryjacki Touring Klub. Wycieczkę zorganizował Polski Klub Motocyklowy oraz Klub Motocyklowy Państwowych Zakładów Inżynierji łącznie ze Związkiem Strzeleckim. Trasę wycieczki opracował Polski Touring Klub. Redakcja nasza wydelegowała fotografa dla dokonania zdjęć wycieczki, jako przejawu dzisiejszego ruchu turystycznego, w którym zawsze bierze żywy udział Polski Touring Klub.

WELL

Dobre wychowanie, a tempo życia współczesnego

Nasi dobrze wychowani przodkowie mieli ogromnie dużo wolnego czasu. Mogli długo opracowywać i powoli wygłaszać kunsztowne, kwieciste oracje powitalne i pożegnalne, dyszkurs przeplatać misternie wykoncypowanemi komplementy, z grzeczności sztukę czynić trudną, nie „łatwą ani małą“.

Nasze pokolenie podróżujące samochodem i samolotem musi cenić czas, gdyż ma go zawsze za mało, jak gdyby coraz mniej. Tempo, tempo... Gaz, gaz, gaz... Żyjemy z akceleratorem. Życie współczesnego człowieka jest jak raid — szalonem pragnieniem dopadnięcia mety w najlepszym czasie, obłędną trwogą że dogonią nas i wyprzedzą inni.

Dawne pojęcia o dobrem wychowaniu, przedwojenne „dobre manjery“ — „formy towarzyskie“ wydają się dziś śmiesznemi, dziecinnemi borjerkami, które się w pędzie mija, przesadza a nieraz i gruchoce. Brutalne to, bezceremonjalne, ale trudno — c'est la sie. Tak to już bywa. Przy uprzątaniu rupieci ze starego lamusa, też się często tłucze bezcenne sewickie porcelany.

Dawny „savoir vivre“ nie nadaje się obecnie do użytku — to musimy sobie otwarcie powiedzieć. Zaczynając od obowiązku rewizyty w trzy dni najdalej po wizycie i w porze o której ludzi pracujący muszą być przy swych zajęciach zawodowych, kończąc na makabrycznym dziwolągu satysfakcyj honorowych — wszystko jest anachronizmem, upiorem pokutującym jeszcze tu i owdzie na skutek właściwego większości ludzi lenistwa, niechęci do usuwania rupieci z lamusów. Wprawdzie zawadzają trochę, ale niech sobie jeszcze poleżą.

To nieprzystosowanie dawnych form do potrzeb i tempa współczesności, ta humorystyczna nie raz staroświecczyzna „savoir vivre'u“ stała się przyczyną tego, że wielu ludzi bardzo zajętych, czy bardziej niecierpliwych wogóle neguje potrzebę wychowania, w znaczeniu towarzyskiem, odrzuca je jako zbędny balast.

Jak to się najczęściej dzieje — prawda jest pośrodku. Nie mają racji fanatyczni konserwatyści przechowujący z przesadnym pietyzmem bezwartościowe skorupy zwietrzałych tradycji i form nie nadających się do użytku; mylą się również i ci co chcą się w zupełności obywać bez tego wybornego smaru, łagodzącego ostre zazębienie i tarcia w mechanizmie życia, jakim jest t. zw. dobre wychowanie.

Tylko, że oczywiście, formy tego dobrego wychowania muszą podlegać zmianie równocześnie ze zmienianiem się form życia.

Powyrzucać śmiecie z lamusów, ale cenne porcelany i palisandry odczyścić, odrestaurować i poznajdywać dla nich odpowiednie miejsca w unowocześnionych mieszkaniach. To rzecz stwierdzona, że naprawdę piękny antyk harmonizuje z otoczeniem najbardziej moderne. I można być współczesnym człowiekiem wytężonej pracy, posiadać niezawodny zmysł interesu, poświęcać cały wolny czas sportom — nie zatracając przytem towarzyskiej gładkości cechującej ludzi dobrze wychowanych. To w niczem nie przeszkadza, a wielokrotnie bardzo pomaga. Zwłaszcza w interesach; właśnie w interesach.

Tylko jak to wszystko pogodzić, skąd wziąć na wszystko czas? — A od czegóż spryt właściwy ludziom interesu i wyczucie tempa — swoisty zmysł sportsmenów. Dobre wychowanie w skróconem wydaniu. Telegraficzny styl uprzejmości. — Galanterja à la minute.

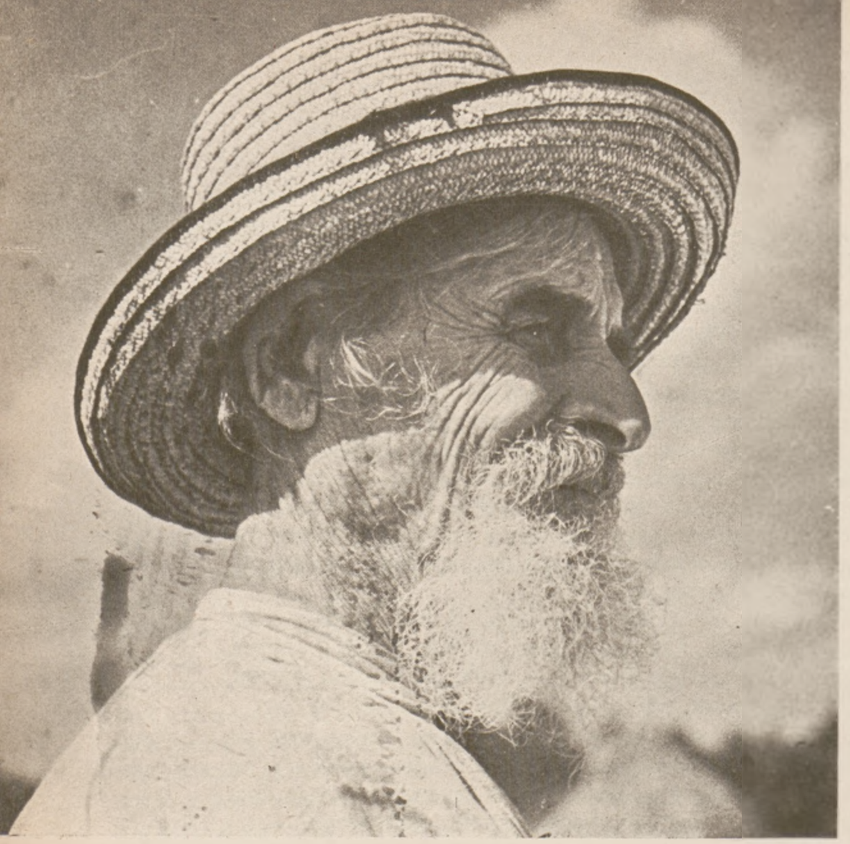
Ilustracja przykładem. — Proszę. Obserwacja nowa i świeża, jeszcze gorąca. Podwieczorek w Radzie miejskiej urządzony dla gości węgierskich. Całość trwała około półtorej godziny. Przemówienia, prezentacje, śpiewy chóralne, produkcje myzyczne — na indywidualne rozmowy zostały dosłownie minuty. Mimo to wszystkie panie wychodziły rozpromienione: — Ach jacyż ci węgrzy przemili!

Jak zdołały się o tem przekonać w tak krótkim czasie. — Poprostu każdy węgier mówił każdej damie, której został przedstawiony: — Polki są bardzo piękne, a pani jest godną przedstawicielką swojej Ojczyzny.

Prawda jakie to proste. I niezawodne. Nie mogę się nadziwić czemu nasi panowie tak rzadko uciekają się do równie łatwych i skutecznych sposobów zagajania spraw dyplomatycznych, handlowych... wszelkich.

Zdjęcia Photo-Plat

PIĘKNA NASZA POLSKA CAŁA...



BIAŁORUSIN

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i dunaju?

Otóż wyleć z twego gniazda,
Miłać będzie taka jazda:
Spojrzeć z góry na twe ziemie
I rodzinne twoje plemię...

Tak śpiewa Wincenty Pol w introdukcji do poemaciku „Pieśń o ziemi naszej". Któż z nas nie pamięta wiersza! Uczyliśmy się go na pamięć na ławach szkolnych, jeszcze w klasie wstępnej... A nieco później otworzyły nam oczy na piękno krajobrazu polskiego nieśmiertelne obrazy „Paua Tadeusza", a w nich taki przepyszny opis lasu:

Czeremchy, oplatane dzikich chmielów wieńców,
Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem,
Leszczyna, jak menada, z zielonemi berły,
Ubranemi jak groan w orzechowe perły,
A niżej dziatwa leśna: głóg w objęciu kalin,
Ożyna, czarne usta tuląca do malin.
Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce,
Jak do tańca stojące panny i młodzień e
Wkoło pary małżonków.

A później jeszcze, z gorączkowemi wypiekami na twarzy, olśnieni i przejęci do głębi, poddawaliśmy się kolorowej i krystalicznej magji wiersza Słowackiego „obłąkanego na morzach dalekich" tęsknotą do kraju, który przez pryzmat tęsknoty tej oglądany, mienił się wszystkiemi barwami tęczy. Z najserdeczniejszem wzruszeniem wczytywaliśmy się w proste, lecz jakże wymowne strofy, wpisane do pamiętnika małej Zosi Bobrówny:

Niechaj mnie Zosia o wiersze nie prosi,
Bo kiedy Zośka do Ojczyzny wróci,
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Każda jej gwiazdka piosenkę zanuci.
Nim kwiat przekwitnie, zanim gwiazdka zleci
Słuchaj — bo to są najlepsi poeci.

Innemi oczyma podpatruje cuda rodzimej przyrody poeta współczesny. Podchodzi do nich od wewnątrz, z najdrobniejszego fragmentu barwy, kształtu, albo ruchu, tworząc takie arcydziełka, jak np „Ptak" Tuwima:



TYP KOBIETY Z POLESIA

Na gałązce usiadł ptak:
Zaszczebiotał, zatrzepotał,
Ostry dziobek w piórku otarł,
Rozkołysał cały krzak.

Potem z świrem frunął w lot!
A gałązka rozhuśtana
Jeszcze drży, uradowana,
Że ją tak rozpląsał trzpiot.

Lecz cudze, choćby najbardziej poetyczne przeżycia, zachwyty i peany na cześć piękna ziemi naszej i jej przebogatych przejawów życia nie mogą nam wystarczyć. Chcemy własnemi oczyma odbijać kolory, własnemi uszami chwytać dźwięki, własnemi nozdrzami wchłaniać wonie i aromaty, własną stopą przemierzać proste drogi i kręte ścieżynki.

Piękno ziemi polskiej, potężna wymowa fal morskich, bijących w piaszczyste pobrzeże, groźna i jednocześnie pociągająca niemota górskich szczytów, sielankowy czar kwietnych dolin i rzek rozlewnych, tajemniczy urok jezior, bogactwo zwyczajów, obyczajów i obrzędów ludowych — oto nieprzebrana skarbnica, z której każdy z nas czerpać może pełną dłonią.

Jeden z herosów antycznych, Anteusz, kiedy osłabł w walce na śmierć i życie z potężnym wrogiem, rzucił się na ziemię, zespolił się z nią w synowskim uścisku — i po zetknięciu tem powstał odrodzony w swej mocy, aby zwyciężyć...

Taką walką śmiertelną jest życie każdego z nas. Z ziemi rodzimej czerpać winniśmy moc wewnętrzną do tej walki. Niedawno przecież mądrcy Wschodu zalecają chodzenie boso, aby żywotne siły ziemi - macierzy mogły łatwiej przenikać do ciała i ducha, uzdrawiać je, krzepić i ożywiać...



GÓRAL

Są jakieś dziwne rośliny, które po wyrwaniu z ziemi wyglądają jak suche i brzydkie badyle — lecz po zanurzeniu korzonków w wodzie odzyskują dawną świeżą zieloność, rozprężają, rozwijają listeczki i na cześć swego zmartwychwstania wydają piękne wonne kwiaty...

Z życiodajnej krynicy rodzimej natury i my zaczerpnijmy chociaż jeden łyk wody życia. I z piękna polskiego krajobrazu, z piękna ziemi polskiej, której każda grudka jest jak relikwja, bierzmy radosną naukę nadziei i wytrwania.

Pejot.

TYP Z ŁOWICKIEGO



TYPY Z BIELSKO BIAŁEJ



KRAKUSI



HUCUŁ



NA CZESKIEJ STRONIE

Urzędnik celny w Łysej Polanie obejrzał z powagą moje dokumenty, przyłożył stemple gdzie potrzeba, wypisał pracowicie metrowy blankiet i, wręczając mi go, wypowiedział sakramentalnie, zdaje się, słowa:

— Gotowe. Może pan jechać.

Prowadząc motocykl przez most na Białce do czeskiego urzędu celnego, posłyszałem nagle tony czardasza, granego przez kapelę cygańską.



Fragment „Drogi Wolności"

— Niema co mówić, pięknie mię witają w Czechosłowacji — pomyślałem z rozrzewnieniem i z niejaką dumą.

Za chwilę okazało się jednak, że wyładowanie cygańskich zdolności muzycznych nastąpiło nietyle na widok mojej skromnej osoby, ile z powodu pojawienia się pakownego autobusu, wiozącego turystów do Polski. Z wnętrza pięknej, sześciokołowej Tatry wysypała się spora ich gromada i pokaźna ilość niklowych halerzy zniknęła w czarnych czeluściach cygańskich kapeluszy.

Uradowani brodacze zagrali wobec tego od ucha jakąś dziwną melodję, w której z dużym trudem rozpoznałem popularną niedawno piosenkę „Pocałowałeś mnie raz..."

Pomimo najszczerszych chęci — nie było kogo całować. Czeski autobus przywiózł akurat wyłącznie męskie towarzystwo. Nie tracąc zatem czasu wstąpiłem do przyzwoitego, murowanego budynku, w którym mieści się „celni urad" czechosłowacki.

— Poklona — zawołałem od progu jeden z nielicznych wyrazów, których się nauczyłem podczas pobytu w Polsce wycieczki Ligi Czechosłowackich Motorzystów.

— Ma ucta — odpowiedział zielony celnik o twarzy admirała, wyciągając rękę po papiery.

Zaczęła się nudna uroczystość przykładania pieczęci. Pomimo zapewnień, że zamierzam spędzić w Czechosłowacji tylko najwyżej trzy dni, niewzruszony admirał ściągnął ze mnie 20 koron podatku drogowego i dopiero wtedy oświadczył, że szosy chechosłowackie stoją przedemną otworem.

Ano trudno. Życie jest piękne, ale djabelnie drogie.

W toku rozmowy z uprzejmym celnikiem, doskonale władającym językiem polskim, nie mogłem się powstrzymać od zapytania o stan drogi, wiodącej w głąb Czechosłowacji. Lubię zawsze wiedzieć, co mię czeka, pomimo że, jak wiem z doświadczenia, niezdrowa ta ciekawość do niczego nie prowadzi. Pewnego razu, zmęczony do ostateczności długotrwałem podskakiwaniem na jakiejś zakazanej, dziurawej szosie, zatrzymałem się obok spotkanego kmiotka i spytałem:

— Czy tam dalej dobra droga?

— Oo, bardzo dobra — odpowiedział kmiotek. A gdy, pokrzepiony na duchu, chciałem ruszać dalej, dodał: „Taka sama, jak i tutaj".

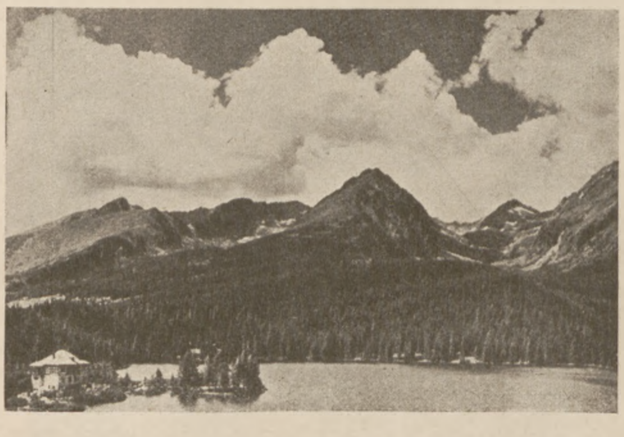
Obecnie miałem przynajmniej tą pewność, że czeski celnik lepiej znał wymagania automobilistów w zakresie stanu dróg, niż ów chłopek małopolski. W rzeczywistości, otrzymałem informacje niezbyt pocieszające: aby się dostać na asfalty, należało przebyć 30 kilometrów złej drogi.

Słońce świeciło tak pięknie, złocąc wznoszące się wkoło szczyty górskie, las cieszył oko tak świeżą zielonością, że nie myślałem wcale o złej drodze, rozpoczynając swą wędrówkę na Słowaczyznę. Jechałem spokojnie samym środkiem wąziutkiej szosy, omijając starannie dwa rzędy głębokich dziur, oczywistych dowodów niszczącego działania samochodów, a zwłaszcza wielkich autobusów, na nieumocnioną nawierzchnię drogi.

Nagle z za zakrętu wyskoczyła wprost na mnie mała, żółta Tatra. Odruchowo skręciłem w prawo i w tejże chwili spostrzegłem, że kierowca Tatry schwycił za hamulec, dając mi równocześnie rozpaczliwe znaki, abym zjechał na lewo.

Masz ci los. Zapomniałem na śmierć, że w tym kraju jeździ się przecież z lewej strony drogi. Złożyłem gwałtownie motocykl przed samym nosem żółtej Tatry i jakoś się wyminęliśmy. Jeszcze mi nawet ręką pomachali na pożegnanie.

W Jaworzynie ostry zakręt w lewo i dalej prosto, jak strzelił, aż do tartaku w Podspadach. Stamtąd droga zaczyna się wspinać na Zdziarską Przełęcz, początkowo łagodnemi serpentynami, a później w gwałtownych zakosach. Nawierzchnia szosy zupełnie rozbita przez samochody i rozmyta aż do podłoża przez silne, górskie ulewy. Przednie koło motocykla tańczy po ogromnych kamieniach, wyrywając mi z rąk kierownicę. Tylne koło skacze, wyrzucając mię z siodła w powietrze. Pot spływa mi po czole, ręce mdleją z wysiłku. Dla odpoczynku zatrzymałem się przed dziwnem rusztowaniem, wzniesionem nad szosą, które z daleka wygląda, jak most. Z bliska okazuje się, że jest to drewniane skle-



Szczyrbskie jezioro

pienie, zbudowane dla ochrony w miejscu, gdzie nad szosą przechodzi kolejka linowa, dostarczająca drzewo do tartaku w Podspadach.

Po piętnastu kilometrach uciążliwej jazdy dostałem się do Tatrzańskiej Kotliny, pierwszej miejscowości klimatycznej po czeskiej stronie Tatr. Stąd prowadziła, przez gęsty las sosnowy, kręta, wąziutka, ale już znacznie lepsza droga.

W pewnem miejscu las skończył się, a równocześnie wydałem okrzyk radości i podziwu. Przedemną widniała szeroka, wspaniale utrzymana, błyszcząca czernią asfaltu „Cesta slobody“ — „Droga wolności“, chluba i ozdoba południowych stoków tatrzańskich.

Po raz nie wiem który, miałem znów możność stwierdzić, że dobrze utrzymana szosa o nowoczesnej nawierzchni podnosi piękno krajobrazu, dodając mu ogromnie schludności i pewnego rodzaju elegancji.

Kilometry, które przed chwilą wydawały się porosłe cierniami, obecnie miękko jak atłas zaczęły się nawijać na koła mojej maszyny. Kładąc motocykl z wirażu w wiraż, minąłem szybko i bez wysiłku szereg znanych miejscowości klimatycznych, jak Tatrzańska Łomnica, Smokowiec, Tatrzańska Polanka, błyszczących czystością i komfortem, pełnych słońca, kwiatów i zieleni.

Na drodze ruch ogromny. Przeważają samochody czeskich marek i to głównie wozy małe, a więc małe Tatry, małe Pragi i prześliczne małe Skody nowego typu. Dużych maszyn, oraz marek zagranicznych prawie się nie spotyka.

Znaki drogowe w wielkiej obfitości. Drogowskazy, jak zauważyłem, wzorowane na francuskich. Wzdłuż szosy biegnie tor kolei elektrycznej, który przecina drogę w wielu miejscach, bez żadnych zabezpieczeń, prócz sygnałów wzrokowych i dźwiękowych. Przy wielkim ruchu, panującym na szosie — nie wydało mi się to zbyt bezpiecznem.

Rozkoszując się wspaniałemi warunkami jazdy, dotarłem wreszcie nad Szczyrbskie Jezioro. Przy wjeździe zatrzymał mię dozorca z czerwoną chorągiewką, żądając pozostawienia maszyny na strzeżonem miejscu postojowem, za co skrupulatnie pobrał trzy korony.

Stromą ścieżką poszedłem w kierunku jeziora. Przeszedłem zaledwie kilkanaście kroków i stanąłem jak wryty, oszołomiony niezwykłem pięknem krajobrazu.

Z prawej strony roztaczało szmaragdową toń Szczyrbskie Jezioro, spoczywające spokojnie, w otoczeniu zielonej gęstwiny lasów świerkowych. W lustrzanej tafli jeziora przeglądały się potężne masywy tatrzańskie, uwieńczone u szczytów białemi welonami chmur.

Z lewej strony, ze wspaniałego tarasu, otwierał się widok na przepaścistą dal. Jak okiem sięgnąć, ciągnęła się rozległa dolina Wagu i Popradu, zalana słońcem i przysłonięta lekką mgiełką, zacierającą kontury dalekiego pasma wzgórz.

W tej chwili dopiero uczułem, że warto było tłuc się kilkaset kilometrów na motocyklu, aby zobaczyć to miejsce, które pod względem swej wspaniałości ma napewno niewiele równych na świecie.

WŁODZIMIERZ JUNOSZA-STĘPOWSKI

Z WIOSŁEM W RĘKU

PRZEŁOMEM STRYJA PRZEZ KARPATY

Jedną z najbardziej wartościowych cech turystyki wodnej jest ta olbrzymia różnorodność wrażeń, jaką odbieramy na każdym kroku, podróżując po najpiękniejszych zakątkach naszego kraju, poznając coraz to inne strony, innych ludzi, inny krajobraz czy przyrodę. Czy będzie to niezmierzona w swym ogromie tafla Naroczy, czy wąskie, zalesione brzegi jezior Augustowskich, czy tajemnicze przesmyki wśród szuwarów i trzcin małych rzeczek Wi-



Przed nami bieleją mury obronnego pałacu w Kropiwniku

leńszczyzny, czy wreszcie rwące bystrza Stryja lub Dunajca, suma doznanych wrażeń będzie za każdym razem inna, choć zawsze jednakowo pociągająca i miła sercu wodnego włóczęgi.

Program moich dotychczasowych wypraw kajakowych obejmował dotychczas Północno-wschodnie i wschodnie połacie Polski, które w ciągu lat kilku pociągały mnie szczególnym urokiem swego krajobrazu i folkloru. Dlatego też przystępując do opracowania planu ostatniej mojej wyprawy, zapragnąłem przerzucić się w inny świat, biegunowo odmienny od spokojnych i cichych rozlewisk Wileńszczyzny i Polesia. Z tego też względu wybór nasz padł tym razem na Beskidy Wschodnie, w których głęboką, urwistą rynnę żłobi sobie między Turką a Synowódzkiem bystry i rwący Stryj.

Przystępują do omówienia moich wrażeń z tej wycieczki, pragnę na wstępie zaznaczyć, że należy ona, zwłaszcza przy niskim stanie wody na Stryju do jednej z najtrudniejszych w Polsce tras kajakowych, na którą mniej wprawnym turystom wodnym nie radziłbym się wybierać. Z drugiej strony zarówno pokonywanie napotykanych po drodze trudności, jak również piękno górskiego pejzażu dają tu turyście maksimum zarówno interesujących jak i silnych wrażeń.

Stary, rozklekotany wagon linji kolejowej Sambor — Sianki pnie się pracowicie pod górę, stukocząc rytmicznie na spojeniach szyn. W jasnym kwadracie okna przesuwa się przed nami wspaniała panorama Beskidów Wschodnich. Wjeżdżamy w dolinę Dniestru, który wije się wąską, niepozorną wstążką to z prawej, to z lewej strony toru kolejowego. Oczy jednak z ciekawością wypatrują Stryja, który ukazuje się nam dopiero pod samą Turką. Z pewną obawą w sercu konstatujemy, że stan wody na Stryju jest niski, a całe koryto usiane głazami, których omijanie przy szybkim prądzie nie będzie łatwe i zdrowe dla gumowej powłoki naszych kajaków.

Tor kolejowy, który wspiął się dość wysoko na zbocze, zbiega teraz szybko wdół, łamiąc się w licznych zakosach. Z potężnym łoskotem kół wchłania w siebie jedna i druga gardziel tunelu, otaczając nas na chwil parę nieprzeniknioną ciemnością i wypełniając wnętrze przedziału dymem z lokomotywy, wpadającym do wnętrza przez otwarte okna. Jeszcze jeden i drugi zakręt, jeszcze krótki tunel, most przerzucony lekkim łukiem nad Stryjem i ze zgrzytem hamulców zatrzymujemy się w Turce, punkcie wyjściowym naszej wędrówki.

Szybko i sprawnie podajemy sobie przez okno nasze bagaże, bo pociąg nie stoi długo na małej stacyjce i po chwili, usadowieni we wnętrzu mocno rozklekotaenj dorożki, czyli po galicyjsku fiakra, pniemy się stromo pod górę wyboistą drogą ku grzbietowi górskiemu, za którym w dolinie wije się wstęga Stryja w obramieniu stromo nachylonych i gęsto zalesionych zboczy. Godzina jest dość późna, a słońce, chyląc się ku zachodowi złoci już czuby prastarych świerków i rzuca długie, czarno-granatowe cienie na szmaragdowe, strome połoniny. O kilkaset kroków od drogi, nad samym brzegiem Stryja rozbijamy szybko obóz, tem bardziej, że los zawistny każe nam do jutra jeszcze czekać na nadaną z Warszawy bagażem skrzynkę z prowiantem, która na czs nie przyszła. Zaciskamy też paski na żołądkach, zadawalając się tylko bułkami z wędliną i kładziemy się spać zaraz po zachodzie.

Wczesnym rankiem budzi nas słońce, padając z za zbocza skośnemi promieniami na szumiącą w dole rzekę. Nad Stryjem wisi nisko gęsta wata mgły, czepiając się zalesionych zboczy, których szczyty toną w niej zupełnie. W miarę jak słońce wstaje, mgły rozdzierają się na strzępy ulatując coraz wyżep i wyżej i odsłaniając okoliczne wierchy, wyzłocone promieniami wschodzącego słońca. Widok ten ma w sobie tyle uroku i majestatu budzącej się do życia przyrody górskiej, że ten pierwszy nasz ranek nad Stryjem pozostał nam w pamięci jako jeden z najpiękniejszych wrażeń całej wędrówki.

Około 9-ej rano zjawia się w naszem obozowisku nasz wczorajszy „fjakier" z upragnioną skrzynką, zawierającą tak cenne dla nas zapasy żywności i wszelkie utensylja kuchni turystycznej. Po rzetelnem śniadaniu pakujemy nasz dobytek i spuszczamy łodzie na wodę. Prąd ciągnie wspaniale. Sądząc po szybko uciekających brzegach, robimy bez wysiłku około 10 — 12 kilometrów na godzinę, nie tyle wiosłując ile prowadząc kajak wiosłem we właściwym kierunku i spływając z prądem. Stan wody na Stryju jest wprawdzie mniej niż średni, ale w każdym razie jeszcze nie niski, przy którym spływ od Turki jest zupełnie niemożliwy. Całe dno najeżone jest ostremi kamieniami, które trzeba ustawicznie wymijać. Na poszczególnych szypotach nie obywa się jednak często bez niemiłego „szurania" dnem o szutrowiska. Już pierwszego dnia wędrówki przychodzą nam do głowy wątpliwości czy w tym stanie rzeczy wystarczy nam aby gumy na całą drogę i czy nie dojedziemy do końca na samych tylko szkieletach...

Koło stacji kolejowej Jawora, dolina rozszerza się nieco, pozo-



U podnóża zboczy, porośniętych gęsto lasem świerkowym

stawiając między zboczami wzgórz a korytem rzeki szerokie połoniny. W szybkim tempie mijamy Isaje i Jasionkę Masiową. Tuż za nią wpadamy na pierwszy trudniejszy szypot o znacznem nachyleniu i licznych głazach, wyzierających złowieszcze z pod spienionej wody. Szybkość prądu wzrasta prawie w dwójnasób, tak,



Rankiem budzi nas słońce...

że chwilami — patrząc przed siebie na silnie pochylone koryto rzeki, odnosimy raczej wrażenie jazdy na sankach niż na kajaku. Nie wiosłujemy już, lecz z oczyma wlepionemi w dziób łodzi i pieniące się koryto, staramy się instynktownie wyszukać wśród kipieli najgłębszą rynnę. Nie na wiele się to jednak przydaje, gdyż ze złowieszczym chrobotem kajak mój osiada na szutrowisku i siłą rwącego prądu zostaje momentalnie ustawiony wpoprzek do kierunku jazdy. Stary kajakowiec wie co to znaczy: jeszcze chwila, a napór wody na burtę wywróci kajak jak łupinę i pokoziołkuje go po sterczących z wody głazach. Rozpaczliwym rzutem ciała na przeciwległy reling i silnem pchnięciem wiosła o dno ratuję się do wyrotki, lecz porwany prądem kajak odwraca się tyłem do kierunku jazdy i w tej, arcyniemiłej dla mnie pozycji porywa mnie w kipiel, aby pochwilowem obtłukiwaniu po głazach spłynąć na spokojniejszą wodę. Napięte nerwy odprężają się, a z piersi wyrywa się błogie westchnienie ulgi.

Zasadniczo wywrotka, zwłaszcza na niegłębokiej wodzie jest raczej niemiła niż niebezpieczna i narazić w tym wypadku mogła, conajwyżej na bolesne potłuczenie o głazy, jednakże największem mojem zmartwieniem była troska o cały dobytek, któremu taka przymusowa kąpiel napewno nie wyszłaby na dobre. Z tem większą więc troską myślałem o dalszej naszej drodze, gdyż byłem przygotowany na większą ilość podobnie denerwujących przepraw na tarasowych spadkach Stryja. Towarzysz mój również nie czuje się zbyt wyraźnie i twierdzi, że przy uderzeniu o głaz coś mu w kajaku podejrzanie trzasło. A tymczasem trudnościom jazdy przyroda przeciwstawia coraz to piękniejsze widoki. Oko nawykłe do naszej równiny mazowieckiej lub szerokich rozlewisk Polesia, nie może się nacieszyć dzikością poszarpanych brzegów skalnych i urwistych stoków gęsto podszytych lasem świerkowym. Szybko przemykamy się koło pięknie położonej na obu brzegach Lastówki i po kilkugodzinnem wiosłowaniu, urozmaiconem co kilkaset metrów mniej lub więcej denerwującymi szypotami, zmęczeni nie tyle fizycznie ile wyczerpani nerwowo skutkiem stałego napięcia uwagi, zatrzymujemy się na nocleg na prawym brzegu koło Kropiwnika. Przed nami, na tle cuknej scenerji górskiego pejzażu bieleją mury starego, obronnego pałacu, który usadowił się na wysokiej skale, spadającej stromemi krzesanicami ku rzece.

Wyciągając oba kajaki na brzeg, spostrzegam, że łódź mego towarzysza podejrzanie przybrała na wadze. Po wyjęciu leżących na dnie rzeczy, widzę, że w kajaku stoi woda na dłoń wysoko. Nie powiem, aby odkrycie to stanowiło dla nas miłą niespodziankę... Po wyjęciu wszystkich rzeczy i bliższych oględzinach powłoki, spostrzegamy dwie spore dziury na wysokości drugiego tylnego żebra. Mimo, że zmierzch już się zbliża, zabieram się do rozmontowania szkieletu, gdyż dziury trzeba będzie łatać z obu stron. Po zluźnieniu rygli drabinki kilowej, połowa jej zostaje mi w ręku. Obie podłużnice jesionowe są zgruchotane w samym środku ich długości... Miny przeciągają się nam, gdyż uszkodzenie jest poważne i stawia całą naszą drogę pod znakiem zapytania. Tymczasem wokół naszego obozowiska zbiera się jak zwykle grupa ciekawych autochtonów. Towarzysz mój zabiera się do stawiania namiotu i rozpalenia ognia, ja zaś przemyśliwam nad sposobem zaradzenia złemu. Szczęściem udaje mi się dowiedzieć, że w położonej o kilka kilometrów wsi mieszka niejaki Pantaiejmon Nimas, trochę cieśla, trochę stolarz, a wogóle majster do wszystkiego, który z całą pewnością podejmie się dorobienia nowych podłużnic. Jeden z pastuchów ofiarowuje mi się nawet sprowadzić go jeszcze przed wieczorem do obozu. Istotnie gdy się już dobrze zciemniło, zjawił się oczekiwany majster i po dokładnem obejrzeniu przyrzekł dorobić nam na jutro nową drabinkę. Nie trzeba chyba dodawać, że okoliczność ta wpłynęła doskonale na poprawę naszych zważonych humorów i ze znacznie już lżejszem sercem zabraliśmy się do kolacji i spoczynku.

Zrywamy się skoro świat i zabieramy do generalnego remontu naszych mocno pokancerowanych powłok oraz do dosuszania zamoczonych rzeczy. Toteż wkrótce obozowisko nasze przypomina raczej strych po wielkiem praniu, aniżeli biwak kajakowców. Na porozpinanych pomiędzy drzewami linkach powiewają na wietrze najintymniejsze części naszej garderoby reprezentacyjnej, na trawie zaś, na rozpostartych płachtach namiotowych i kocach suszy się cały sklep kolonjalny: makaron, ryż, mąka, sól, tytoń i zapałki oraz wiele innych drobiazgów.

A naszego stolarza jak nie widać, tak nie widać. Skracając sobie czas próżnego oczekiwania, szaleję z aparatem fotogarficznym po okolicy polując na motywy, których nie brak na każdym kroku. Dopiero około południa zjawia się nasz upragniony wybawca z nową drabinką. W obozie radość, pospieszne pakowanie manatków i odjazd w dalszą drogę.



Spostrzegam, że łódź mego towarzysza podejrzanie przybrała na wadze

(D. c. n.)

Stosunki pana Hipolita

Martwić się będziemy jutro,
Dziś uśmiechnijmy się...

Nie widziałem go szmat czasu. I nawet ledwo go poznałem. Rzucił się na mnie z radością, jakby ojca rodzonego zobaczył.

— Redaktorze kochany! Sto lat! Z dubeltówki! Co najmilszy porabiał?

— Na wsi siedziałem — mówię skromnie — w radomskiem.

— Na wsi? W radomskiem! Fi donc! „Wsi radosna, wsi wesoła!", jak mówi poeta. Życie sielskie, anielskie. Fi donc! Nudy, zastój, szarzyzna!

— A pan szanowny, jeśli wolno spytać...?

— Ja? Mocny Boże! Podróże, podróże, włóczęga, można powiedzieć, po całej Europie! Jasny Brzeg. Riwjera. Monte...

— Jakie Monte?

— Jakto jakie! Monte Carlo, ma się rozumieć!

— A to winszuję panie Hipolicie, winszuję. Pysznie pan wygląda...

— Ba! W Cannes, imaginuj pan sobie, spotykam Polę Negri. Czarująca kobieta, chociaż trochę przytyka. A trzeba panu wiedzieć, że kochała się kiedyś we mnie do szaleństwa. Więc mi powiada, że świeżo właśnie rozeszła się z tym swoim księciem. Łatek był podobno i szelma. Gadu - gadu, niedwuznacznie daje mi do zrozumienia, że owszem, teraz machnęłaby się za mnie. Że jej niby strasznie Valentina przypominam. O znajomych też wypytywała, o Brodzińskiego, naturalnie, co i jak. Ale o marjażu to już, wie pan, nie wspominałem...

— A to szkoda! Taka partja!...

— W Antibes znowu napatoczył mi się książę Walji (znamy się jeszcze z przed wojny). Wyściskał mnie kordjalnie. Ja z miejsca kropię mu verba veritatis. „Jurek — powiadam — czyli Żorżyk kochany, co wy — powiadam — za szopki wyprawiacie z tym paktem czterech!" Książę ogromnie się zmieszał. „Ja — powiada — o niczem nie wiem. To pomysł papy i tego — powiada — Ramsay'a". Strasznie miły człowiek, tylko szkoda, że Anglik. Namówił mnie na partyjkę pockera. A gra, uważa redaktor, jak z nut. Ja mam czwórkę a on foola, ja mam kolor a on pockera. W końcu jednak ograłem go do nitki. Nawet mi został winien dwa funty z kopiejkami.

— Co pan mówi!

— A jakże! Błagał mnie przy rozstaniu, żeby z nim jechać do Londynu. „Zamieszkasz Hipek — powiada — u mnie w pałacu, St. James's Palace się nazywa. Urządzisz się jakoś. No, bez krępacji!" Ale się wymówiłem grzecznie.

— Nadzwyczajne spotkanie!

— E to nic, uważa najmilszy! W Nizzy znowu patrzę, wali wali prosto na mnie Moryś.

— Jaki znowu Moryś?

— Chevalier! Z punktu zaciągnął mnie na wódkę, czyli jak u nich mówią, aperitif. Chciał nawet, żebym u nich zagrał w nowym filmie z tą, jakże jej? Żanetką Mac Donald. Nawet przedstawił mnie jej przy okazji. Owszem, bardzo frontowa kobieta. Ale nie na mój gust. Za wysoka.

— No i co? No i co? Wie pan, to bardzo interesujące...

— Ano mordowali mnie oboje ze dwie godziny. Moryś aż zachrypł z irytacji. „Hipek, warjacie jeden — woła — Żanetka cię prosi, a ty odmawiasz. Gwiazdorem cię — woła — zrobimy. Forsy — woła — będziesz miał jak lodu". Ledwo-m się wykręcił!

Po pewnym czasie dowiaduję się od pana Hipcia, że się żeni.

— Gratuluję, gratuluję. Z kim-że?

— Z córeczką arcyksięcia D'Aosty. Bardzo porządna rodzina, tylko trochę zbiedniała po wojnie.

No i co z takim zrobisz! Żeby choć jedno słowo nie zełgał!

Ale — mundus vult decipi! Panienka, jak mi później powiedziano, jest córką właściciela masarni. Papę liczą na okrągłe sto tysięcy. I podobno w dolarach.

Złośliwcy mówią, że dziewica poleciała na znakomite stosunki pana Hipolita.

Od dzieciństwa, jakoby, marzy o poznaniu Morysia Chevalier i Żanetki Mac Donald.

A Hipcio zrobił złoty interes.

To się nazywa umieć wykorzystać stosunki!

Na moście Poniatowskiego podgazowany obywatel wsparty o balustradę patrzy uporczywie w wodę.

Przechodzący policjant, obawiając się czy zalany nie ma czasem myśli samobójczych podchodzi doń i pyta:

— Panie, co pan tu robi?

— Patrzę na DDunaj, może mi nnie wwolno?

— Przecież to nie Dunaj tylko Wisła!

— A pprzepraszam, nie zauważyłem, mam taki krótki wzrok.

Do Austrji możesz jechać,
Rozrywka cię nie minie —
I ciebie Austrja przyjmie,
Kiedy przyjęła świnie.

NASZ I-szy KONKURS

„Turysta i Auto" pragnąc przyczynić się do ożywienia ruchu turystycznego i krajoznawczego, ogłaszać będzie urozmaicone konkursy literackie, turystyczne i fotograficzne

Z LICZNEMI NAGRODAMI.

Wychodząc z założenia, że P. T. Czytelniczki i Czytelnicy naszego pisma w okresie wywczasów letnich, uczynili całą masę interesujących i pięknych zdjęć fotograficznych, posiadających często walory artystyczne, ogłaszamy niniejszym

KONKURS NA NAJPIĘKNIEJSZE ZDJĘCIE WAKACYJNE

Warunki tego konkursu są następujące:

1) Udział w konkursie jest dostępny dla wszystkich P.T. Czytelniczek i Czytelników „Turysty i Auta".

2) Zdjęcia fotograficzne na konkurs: krajobrazy, typy ludowe, rodzajowe i t. p. nadsyłać należy w formacie nie mniejszym niż 6 x 9 na papierze bromosrebrnym i błyszczącym.

3) Do każdego zdjęcia dołączyć należy jeden kupon konkursowy, umieszczony poniżej.

4) Termin nadsyłania zdjęć konkursowych upływa 15 października 1933 r.

5) Najlepsze zdjęcia nadesłane, zostaną reprodukowane w „Turyście i Aucie" poczem kolejność nagród zostanie ustalona przez głosowanie Czytelników.

6) Redakcja zastrzega sobie ponadto prawo do reprodukcji zdjęć konkursowych nie nagrodzonych i nie wyróżnionych za opłatą normalnej stawki redakcyjnej.

Nagrody:

1) Aparat fotograficzny „Kodak".
2) Pióro wieczne z firmy A. Szuster, Ossolińskich 1.
3) Roczna prenumerata naszego pisma.
4) 3 książki podróżnicze.
5) Rakieta firmy „Olmar".

KUPON 1-zy Konkurs Turysty i Auta „Najlepsze zdjęcie wakacyjne"

BRIDGE I ROZRYWKI UMYSŁOWE

Rozpoczynając dział rozrywek umysłowych w „Turyście i aucie“ pragniemy chętnych w c i ą g n ą ć w ten labirynt, który częstokroć staje się pasją zagorzalszych czytelników. „Wciągnięcie“ to musi być łagodne i stopniowe. Dlatego też zaczynamy od zagadnień nie trudnych, ale interesujących.

Pierwsze to końcowy fragment rozrywki bridżowej:

ZADANIE Nr. 1
(Modele)

♣ As. 6. 2 ♦ kr. ♥ As. kr.

♣ 8 7 ♥ 2 3 7 ♦ wal.	Z A B X	♠ kr. w. ♦ 10, 9 ♣ 4 ♥ 10

♦ A. 4 ♠ A. D. 10 ♥ 8

Atu pik, wychodzi A. X bierze wszystkie lewy.

ZAGADNIENIE FIZYCZNE

Przez ziemię przekopano na wylot pionowy gładki otwór (kanał). Do otworu tego wrzucono mającą się w nim luźno poruszać kulę.

P. S. W odpowiedziach można uwzględniać skutki oporu powietrza, jak również przewidzieć wypadek, gdyby ten opór nie grał roli.

PRZESĄDNY PASAŻER

Pewien pasażer, jeżdżący codziennie do biura tramwajem, sprawdza za każdym razem numery wozu którym jedzie, konduktora i swego biletu. Jeżeli wszystkie te trzy liczby są parzyste, pasażer poczytuje to za dobrą wróżbę, jeżeli mieszane — jest zdezorjentowany, jeżeli nieparzyste — przewiduje nieszczęście.

Licząc się z teorją prawdopodobieństwa odpowiedzieć ile razy na tydzień (tylko dni powszednie!) pasażer jest zły, ile razy szczęśliwy i ile — zdezorjentowany.

Za najlepsze rozwiązania Redakcja przeznacza 3 nagrody w postaci książek beletrystycznych.

Podajemy do wiadomości PP. Członków. że w związku z wzrastającą frekwencją bridge‘a w lokalu towarzyskim P.T.K., zostały otwarte nowe salony brydżowe, czynne codziennie od godz. 18-ej.

NIEODŁĄCZNA TOWARZYSZKA PODRÓŻY

Turysta pieszy ma na grzbiecie plecak.

A w plecaku: to, tamto, owo i—tabliczkę czekolady.

Turysta, udający się w podróż koleją, słyszy na dworcu: „Gazety — piwo—czekolada!“

Bez czekolady nie wyrusza na rajd właściciel samochodu, ani turysta podobłoczny. Koń nawet krzywi się na jeźdźca, który zapomniał wetchnąć tabliczkę czekolady do kieszeni swego rajtroku. A „kicha“ na widok cyklisty, pozbawionego tego smacznego, krzepiącego i gaszącego pragnienie smakołyku, „nawala“ ze śmiechu... Więc?

Tak ale jaka czekolada?

„Bo w tem rzecz główna że czekolada czekoladzie nie równa“,— jak mówi (mniej) znane przysłowie...

Ogromnie też ucieszył się „Turysta i Auto“, dowiedziawszy się, że zasłużona, istniejąca od r. 1829, czyli więcej niż stoletnia fabryka czekolady „Fuchsa“ czyni ostatnie przygotowania do wypuszczenia na rynek nowego gatunku czekolady, odpowiadającego wszystkim wymaganiom idealnej czekolady turysty.

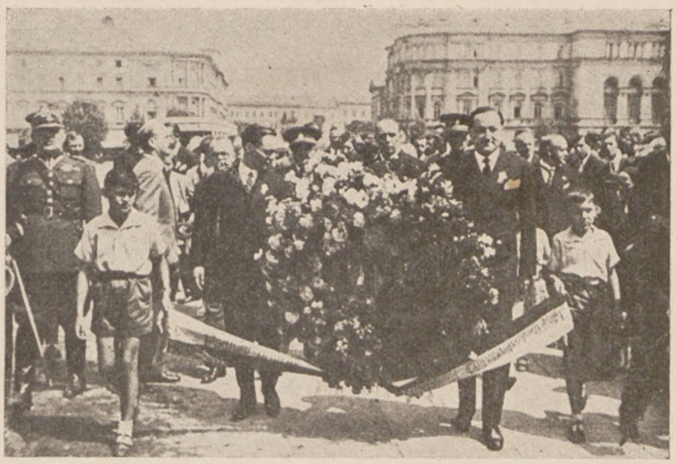
Zainterpelowany przez nas w tej sprawie dyr. firmy p. Stanisław Fuchs, poinformował nas uprzejmie, że czekolada ta pod nazwą „Turystyczna“ i ozdobiona godłem „Polskiego Touring Klubu“ będzie...

...Ale o tem szczegółowo w następnym numerze „Turysty i Auta“

Narazie łykajcie p. t. Czytelniczki i Czytelnicy ślinkę bo powiadam wam: Pyszności! *K.*



Powitanie P. Prezydenta Kumpery przez Prezesa Polskiego Touring Klubu Sen. Augusta Zalewskiego



Prezydium Ligi CSL Motoristu składa wieniec na grobie. Nieznanego Żołnierza

Echa wycieczki Ligi Ceskosłovenskich Motoristu do Polski

Wycieczka Ligi Czechosłowackich Motorystów, która jak wiadomo przybyła do Polski na zaproszenie Polskiego Touring Klubu, znalazła żywy swój oddźwięk w szeregu czasopism czeskich. Również i oficjalny organ Ligi przynosi w dwóch ostatnich numerach szczegółowe sprawozdania z pobytu w Polsce, opracowane przez red. Jarosława Soukup'a. Uderza żywy entuzjazm naszych miłych gości, z jakim wspominają chwile spędzone w naszym kraju, entuzjazm ten uwidacznia się szczególnie w mowach p. Prezydenta Kumpery, które Ceskosłowenski motorista cytuje in extenso. Na powitanie wycieczki w Cieszynie przez przedstawicieli władz i Polskiego Touring Klubu p. Prezydent Kumpera odpowiedział: „Przekroczyliśmy granice waszego pięknego kraju. Przybywamy do was i dziękujemy za zaproszenie. Przybywamy do współbraci aby z niemi współpracować. Chcemy was poznać i wasz kraj, aby módz o nim opowiedzieć naszym 18.000 członkom.

Niewątpimy, że współpraca dwóch wielkich demokratycznych organizacji motorowych stworzy podwaliny dla dobra i pomyślności obu narodów".

Entuzjastyczny artykuł w naszej Gazecie Turystycznej p. t. „Nazdar", wzbudził wśród uczestników wycieczki nastrój niezwykle podniosły, a jednocześnie serdeczny. Nastrój ten utrzymał się przez cały czas wycieczki w czasie zwiedzania Krakowa, gdzie wzniosła powaga Wawelu przypominała naszym gościom potęgę i wielkość historyczną naszego narodu. To też w mowie wygłoszonej w Krakowie, P. Prezydent Kumpera zaznaczył, że starodawne miasto Kraków wielokrotnie gościło przedstawicieli narodu Czeskosłowackiego, a dziś nawiązano do tej tradycji braterstwa i przyjaźni, mimo rozdzielenia obu państw granicami politycznemi.

Najżywszy kontakt z gośćmi został nawiązany w Warszawie, gdzie po powitaniu wycieczki przez Prezesa Polskiego Touring Klubu, Senatora Augusta Zaleskiego, prezydjum Ligi złożyło podpisy w księgach audjencjonalnych u Pana Prezydenta R. P. na Zamku, oraz u Pana Marszałka Piłsudskiego w Belwederze. Następnie prezydjum w osobach pp. Prezydenta Kupery, Dra. Lagusa i red. Soukupa, złożyło wizyty u PP. Komisarza Rządu, Woj. Jaroszewicza, w Prezydjum Miasta Warszawy i w Poselstwie Republiki Czeskosłowackiej.

Oficjalny obiad wydany na cześć gości przez Polski Touring Klub wbrew zwykłym w tych wypadkach okolicznościom, ciągnął się w niezwykle serdecznym nastroju. Wymieniono podarunki pomiędzy obiema organizacjami, a Prezydent Kumpera przemówił w te słowa do Prezesa Zarządu Polskiego Touring Klubu p. Modzelewskiego: „Dnia 11 listopada r. z. w dzień Waszego Święta Narodowego, miałem ten wielki zaszczyt złożyć wieniec u stóp pomnika Waszych Niezapomnianych Orłów Żwirki i Wigury.



Samochody uczestników wycieczki na Placu Marsz. Piłsudskiego

Miasto Warszawa zrobiło wówczas na mnie tak głębokie wrażenie, że niemogłem się oprzeć serdecznemu zaproszeniu Polskiego Touring Klubu i zorganizowałem wycieczkę do tego pięknego kraju. Oba narody są z jednej słowiańskiej rodziny, ich języki są pokrewne, a współpraca organizacji społecznych tych narodów może tylko podtrzymać ten związek rodzinny. Przeto przychodzimy do was, abyśmy się jeszcze lepiej poznali, abyśmy sobie podali ręce do zgodnej i serdecznej współpracy. Nastrój gościnności z jaką nas przyjęliście i pokazaliście nam swój piękny kraj, zawiąże między nami ściśle węzły, a to miejsce w pobliżu grobu Nieznanego Żołnierza, będzie świadkiem położenia fundamentów pod gmach braterskiej polsko-czeskosłowackiej współpracy. Niech żyje Rzeczpospolita Polska i Pan Prezydent Mościcki!"

Jak widać z zacytowanych powyżej przemówień, wycieczka Ligi nie była jedynie wycieczką turystyczną, ale stworzyła platformę współpracy bardzo poważnej i mającej dla obu społeczeństwa niesłychanie doniosłe znaczenie. Polski Touring Klub za którego staraniem wycieczka doszła do skutku, jest dumny, że do tej współpracy dochodzi do skutku za Jego pośrednictwem.

Z. E.

Zarząd Ligi Ceskoslovenskych Motoristu opuszczając granice Polski, wystosował następujące depesze pożegnalne:

Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej
Zamek *Warszawa.*
W imieniu Ligi czechosłowackich automobilistów i motocyklistów, która w dniu dzisiejszym w liczbie 42 samochodów opuszcza granice gościnnej Polski, bardzo serdecznie dziękuję za szczere i braterskie przyjęcie przez całe społeczeństwo polskie i w imieniu zbliżenia dwóch braterskich narodów składam czcigodnemu Panu Prezydentowi wyrazy najgłębszego podziękowania i poważania.
Vitezslav Kumpera prezes.

Pan Marszałek Józef Piłsudski
Belweder. *Warszawa.*
Opuszczając gościnne granice polskie, wycieczka Ligi czechosłowackich automobilistów i motocyklistów składa Wodzowi Narodu i Budowniczemu Państwa Polskiego wyrazy głębokiego hołdu i szacunku. *Vitezslav Kumpera prezes*

Pan minister Zaleski, Warszawa, Kreditova 5.
Dekuji jmenem Ligy ceskoslovenskych motoristu za krásné privitáni — stop — budeme vzdy wzpomínati na prozité chvíle bratrství s Polskim Touring Klubem.
President Vitezslav Kumpera.

Pan ministr Grzybovski Vyslanectvi Polské Praha.
Jménem Ligy ceskoslovenskych motorstu dekujeme za Vasí laskavou ochotu — stop — Jsme nadseni krásnou Polskou a bratrskym privitáním jehoz se nám dostalo.
President Vitezslav Kumpera.
Doktor Karel Lagus.

Pan Minister Józef Beck
Ministerstwo Spraw Zagranicznych *Warszawa*
Liga Czeskosłowackich automobilistów i motocyklistów opuszczając gościnne granice braterskiej Polski, składa niniejszem Panu Ministrowi wyrazy najgłębszego szacunku i poważania.
Vitezslav Kumpera prezes.

Vyslanectví republiky ceskoslovenske
Varsava.
Vracíme se do nasí vlasti vzpomínáme cinnosti naseho vyslanectví ve Varsave v zájmu sbratreni Cechoslováku a Poláku.
Pres. Vitezslav Kumpera.

WIADOMOŚCI KLUBOWE

KOMUNIKATY DELEGATURY POZNAŃSKIEJ

Z inicjatywy Polskiego Touring Klubu utworzoną została w Poznaniu, pod firmą „Auto-Touring“, stacja obsługi samochodów. Zadaniem tej placówki jest ułatwianie właścicielom samochodów wszelkich czynności, związanych z eksploatacją ich wozów, a w szczególności: garażowanie i obsługa samochodów, badanie ich stanu technicznego, wykonywanie wszelkich reperacji i remontów, dostarczanie części zamiennych, dostawa materjałów pędnych i smarów, udzielanie porad w sprawach rejestracyjnych, podatkowych, ubezpieczeniowych, etc., etc.

Nowa placówka samochodowa, która spotkała się z dużem uznaniem wśród automobilistów poznańskich, mieści się przy ul. Kościelnej 30, telefony 77-34 i 69-78.

* * *

Dr. med. Leon Surzyński, Poznań, ul. Kraszewskiego 12, mianowany został lekarzem klubowym P. T. Klubu w Poznaniu.

Dr. Gidyński i dr. Pluciński, adwokaci, Poznań, ul. Pocztowa 21, mianowani zostali syndykami P. T. Klubu i udzielają członkom porad prawnych bezpłatnie.

Natomiast adwokat Jan Fitzner zrzekł się funkcji syndyka P. T. Klubu.

DALSZE ZNIŻKI DLA CZŁONKÓW POLSKIEGO TOURING KLUBU

Wydział Wykonawczy Zdrojowiska Inowrocław, uchwalił udzielać członkom Polskiego Touring Klubu 20% zniżki na wszelkie kąpiele i zabiegi lecznicze.

Zakłady Elektrotechniczne J. Świetlik w Bydgoszczy, ul. Gdańska 27, udzielają członkom P. T. Klubu 5—10% rabatu.

Hotel „Bristol“ w Wilnie, ul. Mickiewicza 22, wciągnięty został na listę hoteli polecanych przez P. T. Klub.

ZALEGŁE SKŁADKI.

Zarząd Główny Polskiego Touring Klubu wzywa wszystkich PP. Członków, zalegających w opłacie składek członkowskich, aby zechcieli w najkrótszym czasie uregulować zaległe kwoty. Ze względu na wysokie koszta, jakie pociąga za sobą wydawanie pisma „Turysta i Auto“ w nowej, starannej szacie zewnętrznej i urozmaiconej treści, członkowie P. T. Klubu, którzy nie opłacili wszystkich składek, nie otrzymają następnego numeru pisma.

WYCIECZKA DO CZECHOSŁOWACJI.

Polski Touring Klub organizuje między 23 września i 2 października r. b. wycieczkę samochodową do Czechosłowacji, która mieć będzie charakter rewizyty za wycieczkę Ligi Czechosłowackich Motorzystów, przyjmowanej przez P. T. Klub w lipcu rb.

Program wycieczki jest następujący:

23.IX. — Zgrupowanie uczestników wycieczki w Cieszynie.

24.IX. — Przyjazd do Zlina.

25.IX. — Zwiedzanie fabryk Bat'a. Przyjazd do Brna.

26.IX. — Wycieczka pociągiem do Bratysławy.

27.IX. — Wycieczka do Nem. Brod. Przyjazd do Pragi.

28.IX. — Uroczystości Św. Wacława w Pradze.

29.IX. — Przyjazd do Pilzna i Marjańskich Lazni.

30.IX. — Przyjazd do Karlovych Varów i Pragi.

1.X. — Wyścigi motocyklowe w Pardubicach. Przyjazd do Hradec Kralove.

2.X. — Przyjazd do Cieszyna.

Cena uczestnictwa w wycieczce wynosi zł. 250.— od osoby. Cena powyższa obejmuje: paszport z wizą, mieszkanie i całkowite utrzymanie, przejazdy koleją, oraz międzynarodowe dokumenty samochodowe.

Osoby nie posiadające własnych samochodów będą mogły uczestniczyć w wycieczce, jadąc luksusowym autokarem Polskiego Touring Klubu. Dodatkowa opłata za przejazd autokarem wynosi zł. 90.— od osoby.

Bliższych informacji, dotyczących udziału w powyższej wycieczce, udzielają wszystkie Delegatury P. T. Klubu.

Ś. P. EDWARD HUSSARZEWSKI

W dniu 22 lipca r. b. zmarł, na skutek tragicznego wypadku, ś. p. Edward Hussarzewski, delegat Polskiego Touring Klubu w Dąbrowie Górniczej.

Zarząd Główny Polskiego Touring Klubu wyraża głęboki żal z powodu bolesnej straty jednego z najaktywniejszych członków Klubu. Cześć Jego Pamięci!

KOMUNIKAT SEKCJI SAMOCHODOWEJ.

Zarząd Sekcji Samochodowej Polskiego Touring Klubu zawarł z firmą „Anpolgum“, posiadającą generalne przedstawicielstwo na Polskę opon „Dunlop“, umowę, dotyczącą sprzedaży opon i dętek wyżej wymienionej marki członkom Sekcji Samochodowej P. T. Klubu, przy ustalonym, wszędzie i dla wszystkich jednakowym rabacie.

Sprzedaż pneumatyków odbywać się będzie w sposób następujący: członek Sekcji Samochodowej P. T. Klubu, pragnący nabyć oponę, winien zgłosić się do swej Delegatury, gdzie otrzyma odpowiednią asygnatę. Z asygnatą tą zgłosi się do upoważnionego odsprzedawcy „Dunlopa“, gdzie będzie mógł kupić oponę z rabatem 43,75% od cennika Nr. 10, lub też z rabatem 55% od cennika Nr. 9.

Po dokonaniu tranzakcji obowiązkiem członka jest zwrócenie asygnaty Delegaturze. W wypadku niewykorzystania asygnaty członek winien również zwrócić ją Delegaturze, najpóźniej po upływie terminu ważności asygnaty, to znaczy po 60-ciu dniach. Członek, który nie zwróci jednej asygnaty, nie będzie mógł otrzymać następnej.

Poniżej podajemy listę upoważnionych odsprzedawców opon „Dunlop“ w poszczególnych okręgach.

LISTA ODSPRZEDAWCÓW „DUNLOPA“ W OKRĘGACH:

WARSZAWSKIM.

Warszawa. 1) L. Krupka, Nowy Świat 5. 2) „Autostprzęt“, Widok 8. *Białystok.* 3) L. Mowszowski, Lipowa 22. *Łomża.* 4) „Ergs“, Długa 6. *Włocławek.* 5) N. Szczeciński, Kościuszki 24. *Płock.* 6) Halladin, Górski i S-ka, Kościuszki 2-a.

POMORSKIM.

Bydgoszcz. 1) St. Janik, Dworcowa 46. 2) M. Susała, Stary Rynek 19. *Toruń.* 3) Tuto-Skład, Mostowa 24. *Grudziądz.* 4) B. Mroczyński, Mickiewicza 46.

POZNAŃSKIM.

Poznań. 1) Brzeskiauto, Dąbrowskiego 29. 2) J. Zagórski, Ogrodowa 17. *Ostrów Wlkp.* 3) W. Wentzel, Wrocławska 14. *Gniezno.* 4) I. Tatarski, Poznańska 19/20. *Inowrocław.* 5) K. Fritsch, Kasztelańska 23.

ŚLĄSKIM.

Katowice. 1) „Autoskład“, Młyńska 1. 2) „Mercedes-Benz“, Moniuszki 6. 3) „General-Pneu“, Jana 6. *Bielsko.* 4) „Automaterial“, Rynek 24. *Biała k. Bielska.* 5) K. Thomke, Rynek 8. *Sosnowiec.* 6) „Meteor“, Warszawska 6.

KIELECKIM.

Kielce. 1) Auto-Commerce, Staszica 2. *Radom.* 2) „Dunlopon“, Malczewskiego 19. *Częstochowa.* 3) St. Sejfried, Aleja Wolności 4.

LUBELSKIM.

Lublin. 1) M. Borensztein, Nowa 2.

LWOWSKIM.

Lwów. 1) I. Roman, Koperinka 20. *Kołomyja.* 2) I. Bahr i S-ka. *Stanisławów.* 3) „Autoskład“ A. Presser, Szydłowskiego 1. *Przemyśl.* 4) „Auto-Motor“, Plac Legjonów 1. *Jarosław.* 5) Inż. Henryk Ornstein, Dr. Dietziusa 34. *Tarnopol.* 6) M. Tennenbaum, Mickiewicza 21. *Czortków.* 7) Siebner i Rosenbaum. *Sambor.* 8) Debora Fernhoff. *Krosno.* 9) „Zawór“ A. Muenz.

Brześć n. Bugiem. 1) G. Blanksztejn, Soborna 7. *Łuck.* 2) „Autoskład“, Kościuszki 6.

Informacje turystyczne nadesłane przez Przedstawicielstwo Kolei Francuskich w Warszawie, ul. Ossolińskich 4.

Udogodnienia w komunikacji Francja - Algier przez Port Vendres.

Z Paryża do Port Vendres kursują bezpośrednie wagony wszystkich klas, z miejscami sypialnemi w kl. I, przez Limoges, Toulouse, Carcassonne. Odjazd z Paryża dworzec Quai d'Orsay o godz. 19.20 (zamiast 17.21), przyjazd do Port Vendres (port) o godz. 9.45. W pociągu tym kursuje wagon restauracyjny Paris-Vierzon, oraz wagony sypialne I i II kl. Paris-Port Vendres-miasto.

Okręty odchodzą z Port Vendres do Algieru w poniedziałki i piątki o godz. 10.30, przyjazd do Algieru następnego dnia o godz 7.30; Okręty do Oranu odchodzą zależnie od sezonu, we czwartki i soboty lub niedziele o godz. 10.30, przyjazd do Oranu następnego dnia o godz. 13-ej.

Podróżni mogą nabywać bilety kombinowane (kolej i statek) z Paryża wprost do Algieru lub Oranu, jak również nadawać bagaż.

Pociąg dochodzi na molo, tak że podróżni z wagonu przesiadają się wprost na statek.

Inauguracja najwyższej drogi górskiej w Pirenejach

Drugiej połowie sierpnia oddana została do użytku publiczności nowa droga turystyczna w Pirenejach, dająca możność zwolennikom wycieczek górskich dotarcia wygodnymi autokarami do wysokości 2877 m. na szczyt Pic du Midi de Bigorre.

Droga ta składa się z dwóch odcinków; pierwszy rozpoczyna się od przełęczy Tourmalet (2122 m.) i stanowiąc rozgałęzienie słynnej Drogi Pirenejskiej — biegnie przeszło 3 klm. zboczami gór do przełęczy Sencours. Drugi odcinek tworzy zygzakowatą wstęgę między spadzistymi zboczami nad przełęczą Sencours, aż do płaskowzgórza Laquets na wysokości 2656 m.

Aby dotrzeć do Pic du Midi pozostaje do przebycia jeszcze 200 m. pieszo, gdyż samochody nie dochodzą na szczyt, aby uchronić od wstrząsów precyzyjne aparaty znajdującego się tam obserwatorjum.

Nowa droga ma długość 5,8 km. i jest najwyżej położoną drogą górską w Europie. Dotychczas najwyższą była droga do przełęczy Stelvio (Dolomity) na wysokości 2759 m.

Droga ta pozwala turystom podziwiać wspaniałą panoramę okolić. Poprzez cudowne jeziora górskie i srebrzyste strumienie, wzrok biegnie aż do doliny Campan i na łańcuch szczytów górskich pomiędzy którymi rozróżmiamy Pic du Midi d'Ossau, le Balaitous, le Mont Perdu, le Marboré etc.

Na płaskowzgórzu des Laquets, nad jeziorem Oncet stanie wkrótce schronisko na 46 łóżek. W Sencours jest już komfortowy hotel.

Redaktor: **Kaz. M. Kałczyński** Druk. Gaławski i Dau, Warszawa Wydawca: **Polski Touring Klub**